N. 47. WARSZAWA d. 11 (23) Listopada ROKU 1872.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

SŁÓWKO

OPARTE NA KILKU CYFRACH STATYSTYCZNYCH.

Komisja Rządowa Sprawiedliwości wydała na rok 1871 wykaz statystyczny sądowo-karny, wielce pouczający; dowiadujemy się z niego, że osób prawomocnie na kary skazanych za przestępstwa w ciągu roku 1871, była liczba niepospolita, bo wynosząca ogółem 11,770. Pomiędzy temi nieumiejących ani pisać ani czytać znajdowało się 10,091. obdarzonych tą drogocenną umiejętnością 584, a posiadających wyższą oświatę tylko 95. Ciemnota zatem największy haracz opłaciła społeczności, w sposób niezmiernie bolesny, bo nie tylko naraziła ją na wielką szkodę, jaką każde przestępstwo za sobą pociąga, ale jeszcze na ponoszenie wydatku na utrzymywanie winowajców podczas indagacyi i odbycia wymierzonéj kary.

Szkoda, że wykazów z lat dawniejszych nie mamy pod ręką, bo toby nam wskazało, czy przestępstwa wzmagają się czy zmniejszają, czy tym sposobem społeczność psuje się czy poprawia. Mając jednak na względzie, że sądy karne coraz większym nawałem pracy są obciążone, że zręczność szalbierzy, oszustów i złodziei, coraz staje się dowcipniejszą, że w domu przed podobnymi szkodnikami prawie się opędzić nie można, i nie ma zapewne jednego człowieka, coby nie doznał strat z tego tytułu wynikających, otóż rozważywszy to wszystko zdaje się, że pod względem umoralnienia społecznego nie posuwamy się naprzód, ale przeciwnie, że złe coraz śmieléj, coraz hardziéj, że się tak wyrażę, rozwija się i rozszerza.

Aby się nam lepiéj działo są usiłowania wielkie, a przynajmniéj wiele wrzawy, hałasu i łajań. Mamy stowarzyszeń dosyć, nowych pomysłów mnóstwo, wydawnictw książkowych także się liczba powiększa, ale to wszystko nie rozwiązuje jeszcze najważniejszéj kwestyi, ogólnéj poprawy społecznéj. Gdzie grunt chudy, tam rzucone w niego nasienie choćby najdorodniejsze, nie wyda oczekiwanego plonu: chwast rozrodzi się i zagłuszy wszystko. Otóż owym chudym gruntem cała massa społeczna, wierzch jéj przystrójmy jak najpiękniéj, ubogaćmy go w jak najpożyteczniejsze instytucye, a cały dół zostawmy w zaniedbaniu; mozół, trud cały o dobrobyt w górze przepadnie bez śladu, będzie wiecznem przelewaniem z pustego w próżne.

Czas też wielki zastanowić się nad tem i szukać rady, jak temu zaradzić. Poprawy pisowni, kłótnie grammatyczne, sprzeczki o teorye Darwina, nawoływania o pozytywizm, wreszcie domagania się utylitaryzmu w piśmiennictwie, który mówiąc nawiasem nigdy nie był obcym naszéj literaturze, nic tu nie poradzą, trzeba gwałtem czegoś gruntowniejszego, wszechstronniejszego, coby społeczność na wskroś przejęło i żadnéj z pod swego wpływu nie wyłączyło jednostki.

Burząc ze szczętem zasady ustroju społecznego, opasując się murem od tchnienia wieków koleją idących po sobie, koniecznie trzeba dać coś nowego, coby stare zastąpiło i to lepszego bezwarunkowo, bo inaczéj zamiana nie byłaby usprawiedliwioną. Urywki z nowych teoryi najfałszywiéj stosowane, owe wierzę tylko w to co widzę i rozumiem: dotyczące walki o byt przedstawiającéj się w całéj naturze, wreszcie owo absolutne wynajdywanie przyczyn każdego skutku, aż do krańców najrozleglejszych, nie przyniosą w tym razie pożytku ale szkodę niewątpliwą. Mało mogący widzieć i rozumieć, straci wiarę we wszystko: w walce o byt zręczniejszy usprawiedliwi środki do ograbienia nieoględnego użyte, a śledzenie przyczyn skutków, umocni bierność w ludziach i wpoi przekonanie, że co robi to musi, więc złego nie ma się co wstydzić ani go się chronić, ani za niego odpowiadać.

Mógłby kto zrobić tu zarzut, że mówiąc o ludziach zupełnie ciemnych, najniewłaściwiéj przypuszczam wpływ teorji czysto naukowych, nie mających do nich żadnego przystępu. Zarzut to byłby nieuzasadniony. Dla przyniesienia szkody czy to człowiekowi czy całéj społeczności, drogi ze wszystkich stron są otwarte, szerokie, wygodne i wszystko co złe pędzi niemi jakby koleją żelazną. Cała praca ludzkości od wieków prowadzona, jedynie tylko zajęta jest odpychaniem tego złego i poznaniem w czem ono spoczywa. Zmysłowość przeważnie rozwinięta, a z niéj wypływająca ciemnica i samolubstwo, w czynności téj całéj wielkie stawiają przeszkody. Dziecię najzbawienniejsze rady puści mimo uszów, a zatrzyma w pamięci z pewnością to, co usłyszeć było niepowinno. Człowiek ciemny także rady rozumnéj nie przyswoi sobie, ale najmniejsze słówko co usprawiedliwia bierność moralnéj jego istoty, co tylko posługuje do pokonania działalności sumienia, to z pewnością nie ujdzie jego uwagi, i przyswoiwszy zamieni w zasadę postępowania.

W dzisiejszych kółkach towarzyskich z rozbiorami teorji o których mowa, dość często napotkać się można. W wywiązanych ztąd rozprawach, nie każdy wnioski wywodzone, dowody popierające twierdzenie, trzyma w karbach warunków, stanowiących cement społecznego ustroju. Śmiałość słowa w pomiataniu i lekceważeniu tego co dotąd szanowano i czczono, dosyć bywa powszechną; rozumniejszy nie zgorszy się nią, przypuści zarozumienie lub chełpliwość i umilknie. Ale takich mniejsza liczba, a obok nich w każdym domu jest służba, która choć niby niema i ciemna i niezważająca, ma uszy i namiętności, co łakną tego co im schlebia. Podsłuchuje więc i zapamiętywa, ale źle, fałszywie według własnych pojęć, a nie istotnego rzeczy znaczenia, powtarza drugim, przemienia w zasady postępowania i staje się propagatorem zarażającym niższe warstwy od siebie.

Proszę nie sądzić aby to było przesada, z zasadą Darwina nie tylko w gronach inteligentnych spotkać się można, ale w przedpokoju, kuchni, przy pługu lub warsztacie. Będą to inne słowa przekręcone, przeinaczone, nie poparte cytatą uczonego co im dał życie, ale badając i zastanawiając się pilnie, pozna się łatwo ich początek.

To nieoględne postępowanie bezwarunkowych zwolenników nowych teoryi, choć niby pozornie nie szkodliwe, wiele już złego narobiło:—ciemnota bardziéj ściemniała, występki w liczbie podrosły. Dawniéj przestępcami byli sami starsi, małoletni popełniali błędy, dziś dzieci dopuszczają się oszustw, zręcznych kradzieży, a nawet zbrodni z planem naprzód obmyślanym. Jakaż być może tego przyczyna? Wszakże warunki były jedne i te same pozostały? Oto zmieniły się pojęcia, idee stanowiące fundamenta społecznego gmachu zatrzęsły się, porysowały się w nim ściany, stukot oskarów nowych mularzy walących w jego wiekowe mury, rozległ się wszędzie i w jednych myśl popchnął naprzód, w drugich zepchnął ją w błoto. Kto to wszystko zdziałał, niechże radzi, aby w gruzy wszystko nie padło, aby szczeliny naprawione zostały, i społeczność massą swą podążała ku światłu i prawdzie. Potrzebne więc jest spieszne działanie, dążące do podnoszenia moralności przez oświatę, a że sama umiejętność czytania i pisania już tak zbawiennie wpływa na umniejszenie przestępstw, że liczba ich o dwadzieścia prawie razy jest mniejszą pomiędzy posiadającemi ją niż między ciemnemi i nic nieumiejącymi, więc z tego jasny wynika wniosek, że przedewszystkiem trzeba uczyć czytać i pisać i zająć się wydawnictwem książeczek, odpowiednich potrzebie tych, coby do korzystania z nich przez ukończoną naukę czytania, zostali dostatecznie usposobieni.

Rząd nasz tak chętnie działający w kierunku szerzenia oświaty i dobrobytu, czego ciągłe składa dowody w wydawaniu pozwoleń na zakładanie coraz nowszych stowarzyszeń i instytucyi, i w tym razie nie odmówi swej wielce pożytecznej pomocy. Idzie tylko o wynalezienie środka najpewniej w tym celu działającego. Zanim ten obmyślony i dostatecznie obrobiony zostanie, aby w czyn mógł się zamienić, trzeba teraz robić co można, co w mocy jest każdego, pragnącego przyłożyć choć cegiełkę do budowy gmachu poprawy społecznej.

Czytać uczyć każdy może; a do tego nie potrzeba ani szczególnego talentu pedagogicznego, ani nadzwyczajnych wydatków, ani zbyt wielkiego poświęcenia czasu. Godzinka dziennie i elementarz za dziesiątkę kupiony aż nadto na to wystarczą. Trzeba tylko poruszyć tych, co obowiązku uczenia mogą dopełniać, co chętni na każdą poczciwą namowę, zaraz wyciągają ręce z pomocą i poświęceniem, co radziby każdą chwilkę życia, oddać na użytek powszechnego dobra. A jest ich na pociechę wspólną niemała liczba. Każdy dwór i dworek wiejski, każdy dom w mieście, kryje pod swoim dachem tysiące podobnych jednostek, za ich przykładem pójdą i obojętniejsi, co nudząc się, biedując i narzekając nie wiedzą co robić z czasem, i trują życie sobie i innym. Niechże więc prassa rozwinie działanie w tym kierunku, niech wszystko inne nie porzucając, naukę czytania postawi na pierwszym planie, a błogie z tego następstwa w prędce dadzą się uczuć.

Co do wydawnictw książeczek o których wspomniałem, tych potrzeba niemniej jest gwałtowna, a zwiększy się jeszcze bardziej, gdy liczba umiejących czytać będzie wzrastać.

Owe różnego rodzaju wydawnictwa tanie i popularne, obecnie zapowiadane, wyszłe już i wychodzące, potrzeby tej nie zaspokoją. Mówiąc otwarcie nie wiadomo nawet dla kogo one właściwie są przeznaczone. Umiejący tylko czytać, korzystać z nich nie będzie: umiejący cośkolwiek więcej, po większej części nie zrozumie bo mało do tego jest przysposobiony, i nie wszystkie zalecają się starannem i jasnem opracowaniem.

Należący wrsezcie do klassy więcej wykształconej nie wiele z nich dowie się nowego, i zawsze przeniesie dzieło wszechstronniej i gruntowniej napisane, nad broszurki pobieżnie rzecz przedstawiające. Są to bowiem prawie same tłomaczenia dziełek obcych pisanych dla ludzi, którzy ukończywszy elementarne nauki nie mieli środków do kształcenia się wyższego. We Francyi, Niemczech i Anglii jest ich mnóstwo, ale u nas liczba ich niezmiernie ograniczona: w każdym razie wydawnictwa te nie zastąpią książeczek, jakich potrzeba, coraz się bardziej czuć daje.

Jakże więc mają być pisane i co główną treść ich stanowić powinno?

Nie ma wątpliwości, że wtajemniczenie umysłów ciemnych dopiero obudzających się do myślenia i zastanawiania, w wielkie zdobycze nauki, w prawa posługujące jednostkom i rządzące społecznościami i całą ludzkością, byłoby arcy zbawiennem, ale czy jest podobieństwem tak jasno w kwestyach tych przemówić, aby czytający obszedł się bez pomocy tłomaczącej mu miejsca źle pojęte lub całkiem niezrozumiałe? Żeby książeczki takie przyniosły właściwy pożytek, powinny być tak pisane, aby czytający je sam sobie wystarczył, aby zachęcony ich treścią, sam je brał do ręki i sam starał się o ich posiadanie. Gdy to wypełnią będą wybornemi, a autora cała sztuka na tem polegać winna, aby wielkie prawdy potrafił ukryć w formie mającej takie zalety. Wszystko to powieść jedynie dokonać może, jako zaciekawiająca, jako pod pokrywką zabawy i obrazowania życia ludzkiego, mogąca zamknąć w sobie wszystko, całą moralność obowiązującą i całą wiedzę zdobytą wiekami. Czy takich pisarzy posiadamy, nie wiadomo, bo w tym kierunku bardzo niewiele pracowaliśmy; czy ich znajdziemy, wątpić nie godzi się, ale trzeba starać się aby ich posiąść. Prassa i w tym razie wielki może przynieść pożytek, niech tylko chęci dobre właściwie ocenia, niech najmniejszy promyk talentu wykaże, podniesie, niech wytknie ujemne strony, ale z pobłażaniem, miłością, bez owego krzykliwego rzucania słów hałaśliwych, nie przyznających pisarzowi nawet szczypty zasługi i naraz jeden rzucających go na ziemię bez powstania. Poniewierka podobna dość teraz w użyciu wiele już złego zrobiła. Przedstawicieli jéj zostawmy na uboczu, dopóki albo nie upamiętają się, albo dopóki opinija nie zmusi ich do zejścia z drogi napaści, skandalu i potwarzy. Z podobnemi nie mamy nic wspólnego, i nie do nich głos nas zwracamy: tam gdzie interes własny jest wszystkiem, a dobro ogólne tylko blichtrem, wystawą nęcącą kupujących, tam słowa nic nie poradzą.

Słówko więc nasze oddajemy pod rozwagę naszych Czytelniczek i téj prassy peryodycznéj, co skupiwszy przy sobie siły młode i gorące serca, pragnie szczerze pożytecznéj pracy. Nie jest ono jeszcze należycie rozwinięte, na co wiele składa się powodów, ale poparte, rozważone, rozszerzone pomału stanie w jasnem świetle, a pierwszym tego następstwem będzie zmniejszenie się przestępstw, o których dziś bez boleści pomyśleć nawet nie można.

DEPOZYT

POWIEŚĆ

PRZEZ

WALERJĄ MARRENÉ.

(*Dalszy ciąg*).

— Cóż to się stało panie Pliszka, spytał wreszcie, że wynosicie się ztąd tak nagle?

Pytanie to nie podobało się widać Pliszce, bo odparł szorstko.

— A co tobie do tego Andrzeju?

— Mnie, nic, majstrze, ot tak pytałem z ciekawości.

— Nie jestem majstrem, wybuchnął znowu Pliszka, tylko taki robotnik jak i ty.

— Jakże mam do was mówić? Gniewacie się zaraz, wyrzekł ulegle chłopiec.

— A czegoż chcesz tutaj?

— Powiedziano mi że się wyprowadzacie, przyszedłem zapytać czy się wam na co nie zdam?

— A czy nie masz co lepszego do roboty?

— At robota jest zawsze, ale źle by było, gdyby nie można oderwać się od niej na chwilę, by komu posłużyć.

— Bóg zapłać za chęci, ale jest nas tu rąk dość.

Przez chwilę zapanowało milczenie, nowo przybyłemu widocznie odchodzić się jednak nie chciało, jakby oczekiwał czego, lub chciał zasięgnąć wiadomości.

— A gdziesz się przenosicie, spytał po chwili nieśmiało, czy i tego nie chcecie powiedzieć?

Pliszka wzruszył ramionami i dał mu pół gębkiem adres nowego mieszkania. Andrzej pokręcił głową.

— Będziecie pomiędzy panami, wyrzekł z przekąsem.

— A no dużo mi z tego przyjdzie, mruknął Pliszka.

Chłopiec nachmurzył się widocznie.

— Wy nie pogardzacie mną panie Pliszka?

— Zwaryowałeś chłopcze, czy co? Cóżto ja jestem lepszego, bym tobą pogardzał?

— Mówcie sobie co chcecie, zwiedziliście kawał świata a i wiecie wiele rzeczy, o których nam się nie śniło.

Pliszka uśmiechnął się szyderczo.

— I cóż z tego? wyrzekł filozoficznie, w rezultacie, widziałem wszędzie jedno i toż samo, biedny cierpi a bogaty używa, wszędzie kapitał wyzyskuje pracę, a jak świat szeroki, nigdzie dla nas pracowników nie ma miejsca pod słońcem.

Wymawiał on w dobrej wierze te komunały pseudo-ekonomiczne, aż nadto rozpowszechnione pomiędzy temi których cierpienie usposabia tak łatwo do niesprawiedliwości, Andrzej słuchał go z naiwnem uwielbieniem, gotów powtarzać na ślepo każde jego słowo i wierzyć w nie jak w ewangelię.

— A przecież wyrzekł po chwili rozpowiadaliście nam nieraz jak to w nowym świecie....

— W nowym świecie jak w starym, zawsze bieda biednemu mój chłopcze, chociaż zarobek łatwiejszy dla tych co mają silne ręce i wolę.

— A czemuż tam nie pozostaliście?

— Nie pozostałem, nie pozostałem! powtarzał Pliszka widocznie nie będący w rozmownym usposobieniu, widać że miałem przyczyny. I mówiąc to zabierał resztę rzeczy.

— A panna Józefa nie przyjdzie tu więcej? spytał Andrzej drżącym głosem.

— A po cóż by miała przychodzić? Wszak wszystko już zabrane.

Chłopiec spuścił czoło ku ziemi, ale nie ustępował z progu, jakby nie mógł się odważyć na porzucenie tego miejsca, mającego dla niego urok wspomnienia.

— Panna Józefa, szepnął, musi być rada z nowego miejsca, ona taka dumna.

Pliszka spojrzał na niego z ukosa.

— Tobie coś chłopcze, wyrzekł, moja córka dyabelnie ci w oko wpadła.

— O panie Pliszka, zawołał z uniesieniem, a jego blada twarz zabarwiła się lekko, ty to odgadłeś, ty wiesz że za pannę Józefę w ogień bym wskoczył, ale cóż kiedy ona i patrzeć nie chce na szewca.

— Cóż to, czy Józia wygląda jakiego księcia spadłego z księżyca?

— Panna Józefa warta najświetniejszego losu, mówił Andrzej z zapałem, a ja tylko mógłbym pracować na nią dnie i noce.

— Alboż to i ona do pracy nie stworzona, cóż to czy nie jest córką cieśli Pliszki? No, no Józia młoda jeszcze i ty także, może dorobisz się czego to zobaczymy.

Ale te słowa pełne otuchy, nie rozweseliły młodego rzemieślnika. W jego przekonaniu Józia była czemś tak pięknem, iż zaledwie śmiał zamarzyć o szczęściu, które ojciec jej za łatwe uważał. Dla tego też wstrząsnął głową powtarzając.

— Ona nie będzie nigdy chciała patrzeć na mnie.

Pliszka wzruszył ramionami.

— Wam młodym dziwne rzeczy przychodzą do głowy, mruknął niecierpliwie, ot nie trać czasu daremnie teraz Andrzeju, idź do swojej roboty i na mnie też czas także.

Wziął swoje rzeczy i wyszedł nie oglądając się na chłopca, rad nie rad i on opuścić musiał izdebkę, a gdy stanął na progu za drzwiami zamkniętemi westchnął głęboko i ze spuszczoną głową wyszedł na ulicę. Tutaj zawahał się chwilę, coś ciągnęło go gwałtem do nowej siedziby Józi, więc z daleka szedł za Pliszką starając się jednak nie ściągnąć jego uwagi. W krótce dostali się obadwaj w bogatą dzielnicę, stanowiącą tak rażącą sprzeczność z ulicami starego miasta. Obaj przesuwali się niepostrzeżeni wśród turkotu powozów, pomiędzy strojnym tłumem, obok przepychu wystaw sklepowych. Serce Andrzeja ściskało się coraz bardziej złowrogiem przeczuciem, czuł instynktownie, że ta atmosfera innego świata, mogła zabójczo działać na młodą dziewczynę: że te zbytki otaczające ją w koło, mogły olśnić jej oczy blaskiem swoim, i na zawsze zamknąć mu przystęp do jej serca.

W tej chwili nienawidził z głębi duszy każdą piękną panią, idącą w powłóczystej sukni po mokrych chodnikach, nienawidził młodych paniczów co z takiem lekceważeniem ocierali się o niego, idąc po kilku razem z zapalonemi cygarami w ustach: nienawidził tych ludzi co za lustrzanemi szybami okien rozwieszali tak ponętnie pokusy przed spragnionemi oczyma: nienawidził wszystko co go otaczało jakby rzecz każda stawała na wspak jego szczęściu i wydzierała mu je z rąk. Tak doszedł do pałacu Kalińskiego, w którego bramie zniknął mu Pliszka.

— Więc ona tutaj mieszka, szepnął sam do siebie przyciskając ściśnięte pięści do czoła.

Rzeczywiście dom ten i jego mieszkańcy, nie zdawali się pasować wcale do rodziny cieśli, która tu osiadła. Po za szybami parterowego mieszkania, widać było egzotyczne rośliny ustawione w oknie i zwieszające się aksamitne draperye firanek. Jakże po tem smutnemi wydawać się musiały, owe wązkie ulice zamieszkałe jedynie ezprz pracujących ludzi, gdzie zaledwie gdzie nie gdzie, jaki biedny wazonik pospolitego geranium, ozdabiał okno ubogiego mieszkania. A przecież to było wszystko co w najśmielszych marzeniach Andrzej mógł ofiarować przyszłej żonie swojej. Wszak życie ich obojga musiałoby upływać wśród ciągłej pracy i troski o byt powszedni, a to co dla niego zwało się zbytkiem, byłoby jeszcze ubóstwem ostatecznem, w przekonaniu każdego z mieszkańców tego pałacu, gdzie jednak była teraz Józia.

Więc ona co dnia budzić się miała i zasypiać, patrząc na to wszystko, czego nigdy posiąść nie mogła! W tej chwili Andrzej obdarzony był jakimś darem jasnowidzenia, przeczuwał co dziać się musiało w sercu Józi. Stał i patrzał sztywno w bramę, gdy ta otworzyła się z trzaskiem, i swobodnie jak zawsze wyszedł Ignaś. Zapomniał on widać zupełnie o przykrej rozmowie z ojcem, przerwanej tak szczególnie i o napomnieniach które odebrał. Wszystko to nie zrobiło najmniejszego wrażenia na lekkomyślnem sercu jego, widać znowu wesołe myślina zabawy, zajmowały go wyłącznie, bo krok jego miał tę pewność i szybkość, świadczącą że kierował nim cel jakiś, a jakiż inny mógł być cel Ignasia?

Minął nie oglądając się wcale na młodego rzemieślnika, który pociągnięty może siłą przeczucia poszedł za nim, gdy natłok przechodniów zatrzymał go na rogu ulicy. Ci dwaj ludzie stali przez chwilkę obok siebie, a szyby sklepowe, odbiły jakby w zwierciedle te dwie tak różne postacie. Oczy Andrzeja skierowane były w tę stronę, mógł więc ocenić przepaść oddzielającą go od wykwintnego panicza. Czyż w oczach pięknej dziewczyny mógł istnieć nawet obok niego. Przyrównał swoje silne czarne ręce, które nigdy nie zaznały zbytku rękawiczki, swoją postać przygarbioną od pracy, do tej smukłej kibici: swoboda tego człowieka, który zdawał się mieć i módz wszystko napełniała go zgrozą, trwogą, nienawiścią. Zapytywał sam siebie czy słusznym był los, który go upośledził, czy ten świetny panicz, w jego położeniu, wywalczyłby sobie to co on potrafił, czy nie zmarniałby pozbawiony wszystkich darów fortuny pozostawiony sam sobie?

Stał tak długo rozmyślając nad nierozwiązanemi problematami bytu, choć Ignaś dawno znikł mu z oczów, aż wreszcie otrząsnął się z próżnych myśli i zwolna ze spuszczoną głową powrócił do porzuconéj roboty. Ale serce jego było ciężkie, pomiędzy nim a ukochaną czuł, że przedział zwiększać się będzie co dzień, że świat który ją otaczał był dla niego niezwalczoną zaporą,a przecież czyż nie byli pracownikami oboje, czyż ona tak jak i on nie należała do tych, co sami zdobyć sobie muszą byt i miejsce pod słońcem? Daremnie powtarzał to sobie, przeczucie mówiło mu inaczej.

Kaliński po rozmowie z synem pozostał nieruchomy w swoim gabinecie, w fotelu gdzie go Ignaś zostawił. Długo nikt nie przerywał ciszy jego rozmyślań, aż wreszcie lokaj uchylił drzwi i stanął na progu z oznajmieniem że obiad podano. Pan domu nie ruszył się z miejsca, może nie słyszał wcale co do niego mówiono. Lokaj powtórzył drugi raz oznajmienie i oddalił się dyskretnie. Tymczasem rodzina zgromadziła się u stołu, Stefanija widząc miejsce męża opróżnione nasłuchiwała zbliżających się kroków, aż wreszcie powstała niespokojna i poszła do niego.

Arnold miał twarz skrytą w dłoniach, a postać jego wyrażała takie pognębienie, iż żona popatrzyła na niego z boleścią, i wahała się przez minutę, aż wreszcie zbliżała się cicho, tak cicho że on jej nie słyszał i ruchem pełnym miłości zarzuciła mu ręce na szyję.

Arnold zrozumiał czyj to był uścisk, ale nawet obecność ukochanej żony, ani jej pieszczota, nie potrafiły przywrócić równowagi jego zmąconych uczuć. Przycisnął czoło do jej ręki i westchnienie wydobyło się gwałtem z jego ścieśnionej piersi.

— Czego chcesz Stefanjo? wyrzekł z wysileniem, po długiej chwili milczenia.

Wyraźnie zapomniał o godzinach ubiegłych, i zwykłych czynnościach życia, symptomat ten uderzył ją smutnie.

— Czy potrzebowałaś czego odemnie Stefanjo? powtórzył nie odbierając odpowiedzi.

— Ja nic mój mężu, chciałam tylko prosić cię na obiad.

— Któraż to godzina? spytał.

— Już czwarta minęła.

— Już czwarta, czas leci szybko, bardzo szybko Stefanjo.

Były to zwyczajne słowa, ale brzmienie ich i postawa Arnolda miały coś grobowego. Jednak żona, potrafiła ukryć doznane wrażenie.

— Czy nie przyjdziesz mój drogi, szepnęła, dzieci czekają.

Starała się wciągnąć go z krainy bolesnych marzeń do powszedniego życia.

— Dla czegóż nie, odrzekł starając się zapanować nad sobą, ale pomimo to, nie ruszył się z miejsca czoło jego było blade, i opadało na piersi, oczy unikały ludzkiego spojrzenia.

Stefanja nie zdawała się zważać na to.

— Chodź ze mną, mówiła podając mu rękę.

Probował powstać ale zachwiał się i upadł na powrót na krzesło.

— Czy czujesz się słabym? zapytała troskliwie, ten wieczór wczorajszy zmęczył cię, rozjechano się rano dopiero.

On wstrząsnął głową, nie przeczył jej ani tłomaczył...

— Idź na obiad, wyrzekł po chwili, ja przyjdę później, nie chce mi się jeść, idź, idź.

Wyraźnie ciężyła mu nawet jej obecność, uczuła to ale nie chciała być natrętną i oddaliła się zwolna, tylko ten niepojęty fakt tajemnych zmartwień męża stał się dla niej pewnikiem. Napróżno się wypierał, coś leżało mu na sercu, coś czego nawet z żoną podzielić nie chciał lub nie mógł.A przecież dotąd wszystkie myśli ich i uczucia były wspólne, tak sądziła przynajmniej, jakim więc sposobem w te dwa tak złączone życia, wślizgnęła się tajemnica? zapytywała o to samej siebie daremnie.

Obiad upłynął smutnie, pan Arnold nie pokazał się w jadalnym pokoju, Stefanja nie mogła ukryć niepokoju swego, Ignaś i Helenka milczeli jak zwykle rozpieszczone powodzeniem dzieci, mieli pełno swoich własnych planów i zamiarów, któremi nie dzielili się wcale z rodzicami. Po obiedzie, wieczór schodził ponuro, po Helenkę przyjechała jakaś przyjaciółka i zabrała ją do teatru, a pani Kalińska raz wraz słuchała czy mąż jej nie wyszedł z tego odrętwienia, w którem musiała go pozostawić. O siódmej przyszedł Hieronim na zwykłą lekcyę z Ignasiem. Ignaś nie należał wcale do pilnych uczniów, jakto wyraźnie wypowiedział ojcu, uważał on naukę za rzecz arcy nudną, narzuconą obyczajem na utrapienie młodości, w gruncie rzeczy na nic nieprzydatną.

I dla niego było tak rzeczywiście: zabawy różnego rodzaju stanowiące jedyne zajęcie młodego chłopca, konie, wyścigi, teatr lub bałamucenie dziewcząt, wszystko nie potrzebowało wcale żadnych wiadomo-

ści, a Ignaś sądził, że nic innego w życiu czynić mu nie wypada. Była więc doskonała harmonija pomiędzy tak jasno określonym celem życia, a przysposobieniem do niego, pieniądze wydawane na nauczycieli były prawdziwie wyrzuconemi. Ignaś bowiem jak najśpieszniej zapominał tego, czego nauczono go wbrew jego woli i chęciom. Hieronim nieraz ostrzegał o tem Kalińskiego, chociaż niesforny uczeń na dowód miłości, zawsze jako tako przygotował się na jego lekcyę. Dziś jednak jakaś widoczna zmiana zaszła w młodym chłopcu, był roztargnionym jak nigdy dotąd, a chwilami spoglądał na Hieronima z widocznem szyderstwem. Chciał nawet rozpocząć jakąś żartobliwą rozmowę pełną przycinków niewyraźnych, ale nauczyciel przerwał ją odrazu ze zwykłą łagodną powagą.

— Jak widzę Ignasiu wyrzekł, nie miałeś czasu przygotować się na lekcyę, obydwa czas tracimy, przyjdę jutro.

— Cóż panu dzisiaj tak bardzo pilno? spytał uczeń z przyciskiem.

— Pilno mi jak zawsze, odparł, zapełnić czem pożytecznem godzinę.

Była to zwykła odpowiedź jego w podobnych razach, jednak dzisiaj nie zadowolniła Ignasia. Chciał widocznie coś dodać, zapytać może o piękną dziewczynę, która stała się teraz blizką jego sąsiadką, ale pomimo zwykłej czelności nie śmiał tego uczynić. Więc pozostał milczący, wstydząc się podejrzeń i wstydząc razem wstydu swojego.

Nauczyciel tymczasem wziął kapelusz i wyszedł. W przyległym pokoju siedziała pani Kalińska, czoło wspierała na ręku, a pierś ej podnosiła się szybko trwogą, niepokojem, tęsknotą. Dla pięknej kobiety były to nowe uczucia, to też upadła pod ich brzemieniem, potrzebowała rozproszyć je koniecznie lub dojść do ukrytego zródła, z którego pochodziło nieszczęście jej męża.

— Panie Hieronimie wyrzekła cicho, widząc go wchodzącego.

On zbliżył się do niej.

— Co pani rozkaże? zapytał.

Stefanja podniosła na niego oczy wymowne smutkiem.

— Pan jesteś przyjacielem naszym, wyrzekła, wszak prawda? przyjacielem mojego męża?

— Nie zasłużyłem na to byś pani o tem wątpiła, odparł młody człowiek.

— Nie, ja o tem nie wątpię, pochwyciła.

I umilkła jakby dalej mówić było niepodobieństwem Hieronim spojrzał uważnie na jej twarz zwykle tak czystą tak pogodną, zmąconą teraz nowemi uczuciami·

— Co mi pani masz do rozkazania, odezwał się, uczynię wszystko co w mocy mojej.

— Na nieszczęście, odparła pani Kalińska, ja nie mam nic do rozkazania, chciałam tylko zapytać.

— O co pani?

Stefanja wahała się chwilę.

— Panie Hieronimie, wyrzekła, jest to dziwne pytanie i tobie może się wydać takiem, a jednak muszę je uczynić. Od jakiegoś czasu mąż mój zapada w smutki niewyjaśnione, on któremu wszystko uśmiechać się zdaje w życiu, tai jakieś cierpienie, czy nie uważałeś pan tego?

Młody człowiek skłonił głową, rzeczywiście ten niepojęty fakt uderzył go także.

— I nie odgadujesz pan jakiej przyczyny?

— Żadnej, ale czyż być może byś ty pani nie znała najskrytszych jego myśli?

Kobieta zrobiła ruch przeczenia.

— On dzieli się ze mną chętnie, zawołała, każdą radością, cierpienia chowa dla siebie samego.

— Ależ jakie cierpienia mieć może?

Oboje patrzyli na siebie, szukając daremnie w oczach swoich rozwiązania tej bolesnej zagadki.

— Czy nie słyszałeś pan, mówiła dalej Stefanja, o jakich majątkowych niepowodzeniach, Arnold tak pragnie dla nas wszystkich dobrobytu, zbytków nawet, iż nie raz przychodzi mi na myśl, czy pod pozorami majątku nie kryje się rzeczywista ruina. Mój Boże ja zniosłabym ją bez cierpienia, a ten niepokój każe mi nienawidzieć to wszystko co mnie otacza.

— Nie słyszałem nic podobnego, przeciwnie majątek Pana Kalińskiego zdaje się zdwojony szczęśliwemi obrotami, tak twierdzi głos powszechny, i nic na świecie nie zdaje się usprawiedliwiać domysłów twoich pani.

Stefanja załamała ręce.

Czasem pragnęłabym by tak było, wolałabym wszystko, niż te nieokreślone obawy, które czynią życie niepodobnem.

Nie rozumiała dotąd przeciwności i dotknięta w najdroższem uczuciu, buntowała się przeciw cierpieniu, znajdowała je nieznośnem, bo też spadało ono na nią tak niespodzianie, grom nieszczęścia wypadał z pogodnego nieba.

W tej chwili ciężkie kroki dały się słyszeć w przyległym pokoju, Stefanja zaledwie zdołała dać ręką Hieronimowi znak milczenia, gdy drzwi skrzypnęły, i do salonu wszedł Kaliński. Ale te kilka godzin zmieniły go tak bardzo, iż żona zacisnęła nieznacznie załamane ręce. Twarz jego była trupio blada, a zmącone oczy, miały osłupiały wyraz. Zmierzył niepewnym wzrokiem żonę i Hieronima, jak gdyby naturalny fakt ich rozmowy zdawał mu się podejrzanym i przeszedł przez salon chwiejącym krokiem. Po co przychodził tutaj? czy szukał schronienia przed marami wyobraźni? Można to było przypuścić z niepewnych ruchów jego. Poszedł ku drzwiom, i znowu zwrócił się do kanapy, na której siedziała Stefanja, jakby sprzeczne uczucia, pociągały go tutaj i odpychały zarazem, aż wreszcie jak człowiek co sam nie zdaje sobie sprawy z czynów swoich, padł więcej niż usiadł na fotelu obok niej.

Hieronim nie wiedział co ma uczynić, rzeczywiście symptomata, o których mówiła mu pani Kalińska, były groźniejsze niż to przypuszczali oboje, zdradzały tak zupełne opanowanie Arnolda myślą jedną, iż stracił prawie swiadomość i kontrolę swych czynów. Czuł się zbytecznym pomiędzy małżonkami, a jednak ufność tej kobiety, dawała mu prawo badać bolesną tajemnicę, ciężącą nad rodziną, obchodzącą go tak bardzo i pomagać do jej wyświetlenia.

Pan Arnold zdawał się zapominać jego obecności, machinalnie wchodząc powitał go skinieniem głowy, a teraz siedział w fotelu nieruchomy z oczyma wlepionemi w ziemię.

— Mój mężu odezwała się Stefanja, chcąc przerwać to przykre milczenie.

— Cóż takiego? odparł natychmiast, jak człowiek mający się na baczności. Ale głos jego był bez dźwięku i myśli, zdawał się wychodzić z rozbitej piersi.

Żona westchnęła cicho i mówiła dalej:

— Rodzice Zosi przysłali po Helenkę by ją wziąść do teatru.

— I cóż, pozwoliłaś?

Było to znowu martwe pytanie, rezultat widocznie był zupełnie dla Kalińskiego obojętny...

— Nie chciałam ci przeszkadzać i zdecydowałam się pozwolić, czy dobrze zrobiłam?

— Naturalnie, ty zawsze we wszystkiem masz słuszność Stefanjo.

W tych ostatnich słowach wymówionych miększym głosem, znać było całą miłość jego, jednak był to tylko odbłysk jakiś po którym zapadł znowu w zamyślenie.

Rozmowa była zerwana, nikt nie myślał zawiązywać ją znowu, tylko kobieta spojrzała ukradkiem z rodzajem rozpaczy na Hieronima, jak gdyby brała go na świadka daremnych usiłowań swoich. Cisza trwała czas jakiś, wreszcie Kaliński przesunął ręką po czole, jakby chciał gwałtem odgarnąć myśli trapiące...

— A ty Stefanjo, zapytał, nie wybierasz się nigdzie?

– Czuję się trochę zmęczoną, odparła, a potem dodała z niejakiem wahaniem, i ty jesteś nie swój Arnoldzie.

— Ja? zawołał tknięty temi słowy, masz zawsze jakieś przywidzenia w tym względzie. Wierz mi, nie chciałbym ci nigdy przeszkodzić w zabawie, ja tak lubię kiedy królujesz wśród świata, wówczas prawdziwie jesteś w swoim żywiole. Stefanjo wszak masz dziś wieczór nie prawdaż? Widziałem jak przygotowywano ci suknię dziś rano, jedź nie troszcz się o mnie.

Mówił to gorączkowo, pośpiesznie, żona powstała i objęła głowę jego rękami.

— Ty wiesz że nie mam nigdzie przyjemności bez ciebie.

— A więc chcesz, będę ci towarzyszył, idź się ubierać moja droga, ja każę mieć konie gotowe.

Hieronim przez cały czas tej rozmowy, do której nie był wmieszany, wziął świeży dziennik leżący na stole i przerzucał go z udaną pilnością. Kaliński powstał by wydać stosowne rozkazy, ale gdy wzrok jego padł na młodego człowieka, stracił na raz gorączkową energię, podtrzymującą go od chwil kilku i stanął nagle na środku pokoju jak gdyby zapomniał z jakim szedł zamiarem. Zapewne zapomniał obecności jego i spostrzegłszy go doznał przykrego wstrząśnienia. Ruchu tego, ani Stefanja, ani Hieronim zrozumieć nie mogli, dotąd Arnold lubił go niezmiernie, i miał zawsze pełno pozorów by zatrzymać go u siebie po lekcyi Ignasia. Pani Kalińska spostrzegła szybko pomieszanie męża.

— Doprawdy mój drogi, zawołała, nie dzwoń, ja wolę dzisiaj pozostać w domu.

Arnold nie nalegał, może nie przypomniał sobie że przed chwilą namawiał ją do wyjazdu. W milczeniu przechadzał się dalej miarowym krokiem po salonie.

Boleśnie było patrzeć na tę szlachetną intelligentną twarz przygnębioną niewidzialnym ciężarem. Kaliński w sile wieku, w pełni szczęścia, ugodzony jakimś ciosem tajemnym, zdawał się niedołężnym jak dziecię, myśli i czyny wymykały się jego woli, jak gdyby umysł jego miotany wewnętrzną burzą stracił ster rozumu.

(d. c. n.)

Korespondencja z Ameryki.

Hoboken pod Nowym Yorkiem
d: 29 Października 1872 r.

Panie Redaktorze!

List wasz wzywający mnie na korespondenta Tygodnika Mód i Powieści i na współpracownika do Przyjaciela Dzieci, narobił mi niemałego kłopotu. Z przyjacielem to fraszka jak Mazur powiada, ale z Tygodnikiem to nie przelewki, a jak się to stało zaraz opowiem.

Słysząc już dawno o mitingu kobiet, mającym się odbyć w Nowym Yorku, dołożyłem wszelkich starań aby się tam dostać. Za staraniem dwóch Amerykanek, otrzymałem aż dwa bilety wejścia, dla żony i dla siebie z zaleceniem najsurowszem, żebym w czasie posiedzenia znajdował się jak najprzyzwoiciéj, to jest: patrzył, słuchał i milczał.

Przyrzekłem: z podobnemi paniami jak Amerykanki sprawa niebezpieczna, ale moja poczciwa *Squa* jak Indyanie amerykańscy nazywają swoje żony, sama pójść nie chciała, córki nie puściła, i tylko mnie jednemu jako reporterowi trzech gazet, wydała pozwolenie z tem jednak wyraźnem zastrzeżeniem, abym obrad słuchał a nie patrzył, bo każde wzruszenie zawsze szkodliwie na mnie oddziaływa.

Poszedłem więc, słyszałem, milczałem ale..... patrzyłem i powróciłem po północy do domu. Żona czekała z herbatą naprawiając sukienki dziecinne.

— Daj mi jejmość prędko herbaty i co przegryźć, zawołałem, bom głodny jak wilk i przeziąbłem przeprawiając się przez Nordh-River (Hudson).

— Zaraz wszystko będzie mój drogi, tak mnie nazywa z nałogu; a nie mówiłam ci abyś wziął płaszczyk.

Wymówka ta tak jakoś ostro zabrzmiała w moich uszach, że pokręciwszy głową pomyślałem sobie;

— Jak się to dobrze stało, że żona moja nie była na mitingu kobiecym. Gdyby usłyszała wszystko co tam mówiono, z pewnością, jużby zapomniała o swem europejskiem pochodzeniu.

Tymczasem poczciwa moja połowica rozgrzewała samowar w drugim pokoiku, a ja zasiadłem przy stoliczku, przejrzeć leżące na nim przesyłki pocztowe...

Pierwszą był Wasz list Redaktorze i dawny mój druhu i towarzyszu. Rozerwałem kopertę z gorączkową niecierpliwością. Marynia w téj chwili nakryła ceratą stolik, postawiła herbatę i przekąskę, zapaliła gaz a zgasiła świecę, a ja przeczytawszy dwukrotnie Wasz list, cofnąłem się myślą o jakie lat dwadzieścia, kiedy byłem młodszy, pełen zdrowia i zapału i cieszyłem się moich przyjaciół towarzystwem, nie myśląc nawet, że kiedyś przyjdzie mi żyć zdala na drugiéj półkuli ziemi.

Czy przypominasz sobie nasze krakowskie wesela, i moją potworną postać organisty? Czy pamiętasz nasz teatr amatorski, ową sztuczkę napisaną przez ciebie kochany Redaktorze p. t. *Janek z pod Ojcowa*, którą odegraliśmy z tak wielkiem powodzeniem w gościnnym domu pani Seweryny Pruszakowéj, dziś Duchińskiéj, na cześć ukochanego przez nas, a zacnego Kazimierza Wójcickiego.

Pamiętam, byłeś Jankiem i dzielnieś się wywiązał ze swego zadania: odgadałeś wszystko jak z nut, odśpiewałeś jak z książki, a kiedy wreszcie trzymając za rękę swą narzeczoną, miałeś odebrać błogosławieństwo, ja znowu jako organista wyciągnąłem nad wami swe prawice, i wzniósłszy oczy w górę wyrzekłem jedyne słowo przeznaczone w roli:

— Obyście......!

Pamiętam później rozrzewnienie poczciwego Solenizanta, gdy Stanisław przedstawiony przez Józefa K. zaczął wyliczać zasługi Wójcickiego, jego pierwsze zbiory przysłów i badania ludu wiejskiego: pamiętam moje niezadowolenie z roli organisty. gdy serce rwało się gwałtem do roli kochanka, pamiętam także śliczne postacie Warszawianek, należących do składu naszego amatorsekigo, a szczególniéj jedną któréj wspomnienie tak mi żywo stanęło w pamięci, że mimowoli zawołałem głośno:

Ach! cóż to za cudna była panienka, a jaki rozum!

— A to co nowego?—zapytała żona przysuwając mi szklankę z herbatą—pij lepiéj bo ostygnie.

Marzenia pierzchły a ja wpatrując się w Wasz list Redaktorze, popijając, zajadając, rozgrzawszy się i pogodziwszy z rzeczywistością, ucałowałem rączki mojéj kochanéj małżonki mówiąc:

— Dziękuję ci najdroższa za pokrzepienie ciała mego, teraz jestem cały na twoje usługi, cóż więc moja pani każe?

— Każę *jegomości* (było to wet za wet za jejmość) abyś mi zaraz powiedział od kogo ten list z Europy, który tak dziwny z ust twoich wywołał wykrzyknik?

— To list od dawnego znajomego, towarzysza i przyjaciela minionéj młodości.

— Czegóż żąda od ciebie?

— Żebym był korespondentem z Ameryki do Tygodnika Mód i zasilał pracą swą Przyjaciela Dzieci, których to obu pism jest wydawcą i redaktorem. Obiecuje mi sowite honoraryum, prosi bardzo grzecznie—przykro mi tylko, że muszę mu odmówić.

— A to dla czego?

— Marynu! zawołałem traicznie, spójrz na mnie i powiedz, czy ja stary, chory, zniedołężniały, znający się na modach jak kura na pieprzu, zdałem się na korespondenta do pisma przez płeć piękną czytanego?

— Sprobój, odrzekła żona a ja zerwałem się jak oparzony i zawołałem:

—Sprobój? Ja mam probować co bez okularów nie rozróżnię blondynki od brunetki, co nigdy nie umiałem opowiedzieć nawet nazajutrz po balu jak która z was była ubraną, co w całem mojem pięćdziesięcio..... chciałem powiedzieć przeszło czterdziestowiosennem (zamiast letniem) życiu, ani razu nawet w Warszawie, nawet w Paryżu, nawet w chwili oświadczyn nie byłem modnie ubrany; ja wreszcie, co przed dwudziestu laty na wszystkich weselach krakowskich w Warszawie i w amatorskich teatralnych przedstawieniach, zawsze odgrywałem rolę grubego, spasłego i Bogu ducha winnego organisty, bo do innej żadnym sposobem nagiąć się nie potrafiłem, mam sprobować pisać korespondencyę do Tygodnika Mód aż z Ameryki? A toż więcéj jak zuchwalstwo, to zgroza, to *horror!*

— Jeszcze ci raz powiadam: sprobój, odezwała się żona. Mody i stroje zostaw na boku, bo one nie z Ameryki płyną do Europy, a opisuj to na co patrzysz, co usłyszysz i co większe wywrze na ciebie wrażenie. Powróciłeś tylko co z mitingu kobiet, opisz go więc, to rzecz ciekawa. Wszak dawniéj może za wiele nawet pisywałeś *do kobiet*, piszże więc teraz za karę *dla kobiet*.

— Prawda, pomyślałem sobie i zamyśliłem się, a moja żona tymczasem poprowadziła mnie do dziecinnego pokoju pokazać, jak dzieci śpią pięknie, a szczególniej najmłodszy Pawełek, który tego dnia o własnych siłach przeszedł przez pokój, ani razu nie upadł i już rozumie wszystko co do niego mówią nie tylko po polsku, ale nawet po angielsku. Potem kazała mi przeżegnać śpiące dziatki i iść na spoczynek.

— Dobrze, odrzekłem, wszystko zrobię jak każesz mój drogi aniele, nawet napiszę do Tygodnika Mód, ale pod jednym warunkiem.

— Jakim?

— Oto, że mi pozwolisz opisać wszystko co zaszło między nami od powrotu z mitingu, aby okazać moim rodaczkom jak dobra, łagodna, rozumna i kochająca żona, może z męża złośliwego, kapryśnego, ziębniętego, głodnego i w najgorszym humorze, zrobić łagodnego, posłusznego i pokornego baranka *nb.* bez rogów, których jestem wielkim nieprzyjacielem.

Pozwolenie wydano i otóż zostałem Waszym korespondentem, a teraz do rzeczy!

(d. c. n.)

Przegląd literacki.

Pamiętnik Teatrów Warszawskich (za r. 1871).

Sekretarz a zarazem bibljotekarz Dyrekcyi Teatrów, p. Stanisław Goślicki poświęcił niemało czasu, trudu i cierpliwej umiejętności, na ułożenie w zeszłym roku *Pamiętnika Teatralnego*, obejmującego fakta i tabele, dotyczące warszawskich teatrów nie tylko w roku minionym (1870) ale i w kilka poprzednich. Znajdują się tam nawet niektóre wiadomości o teatrze, sięgające odleglejszego czasu.

W r. bieżącym praca została uproszczoną, ponieważ nowy zeszyt *Pamiętnika*, zawiera już tylko wykazy dotyczące jednego, upłynionego roku (1871).

Ktoby chciał powziąść dokładne wyobrażenie obecnej działalności teatru, znajdzie w *Pamiętniku* pana Goślickiego jak najstaranniej uporządkowaną statystykę, zawierającą: wykaz składu osobowego Teatrów Warszawskich z roku 1871. Repertoar wszystkich dzieł scenicznych nowych lub wznowionych w tymże roku, z wymienieniem przy wznowionych, daty ich pierwszego pojawienia się na tutejszej scenie: artystów przyjmujących w niem udział, kolejnej zmiany ról, nareszcie osób występujących obecnie tak w nowych jak i w znowionych dziełach, zaczynając od nazwisk autorów i tłomaczów. Dalej następuje repertoar dzieł dawnych, a przedstawianych w ciągu upłynionego roku: wykaz alfabetyczny nowych, wykaz dzienny całorocznych przedstawień z wyrażeniem ile na każdem znajdowało się osób: liczba ogólna przedstawień i maskarady; występy gościnne i debiuty; wiadomość o goszczących u nas truppach opery włoskiej i ich przedstawieniach: nekrologija i wzmianka o *Towarzystwie wsparcia muzycznych artystów*, o *Warszawskiem Towarzystwie muzycznem* i o ich działalności.

Słowem, jest to praca dokonana sumiennie, mozolna, mająca swoją wartość, a mimo to niewielkim wywdzięczająca się pokupem.

Dla czego? bo jakkolwiek zawsze i wszędzie teatr budzi powszechne zajęcie, mało jest osób ciekawych jego szczegółów administracyjnych, ruchu wyrażonego tylko cyframi, tytułami i nazwiskami.

Wprawdzie inaczéj uczynić nie można, statystyka nie da się ubarwić jak powieść i cel jej pomimo swojej zimnoty, zostaje osiągniętym, nie mamy więc powodu czynić zarzutu autorowi; chcąc jednak aby to dziełko stało się powszechniejszem, podajemy myśl której wykonanie, kto wie czyby nie zainteresowało ogółu.

Pamiętnik teatralny p. Goślickiego, jak jest obecnie, będzie miał największą wartość i obudzi największą ciekawość przyszłego historyka tutejszej sceny, który znajdzie w nim wiele rzeczy gotowych i wiele wypływających z kombinacyi.

Wykazy dzieł przedstawianych w ciągu każdego roku, artystów występujących w rolach gościnnych i debiutantów, dadzą mu wyobrażenie o kierunku i ruchu teatralnym. Ilość przedstawień każdego dzieła i osób uczęszczających na nie, przemówi o jego scenicznem powodzeniu, o guście publiczności; ilość osób uczęszczających do teatru w ciągu całego roku wskaże większe lub mniejsze w tym czasie zamiłowanie do sceny itp. itp.

Ale historyków nie będzie wielu, kilka egzemplarzy *Pamiętnika* wystarczy dla nich, tymczasem reszta spoczywa na księgarskich półkach.

Czegóż więc trzeba aby ją uczynić więcéj interesującą *w obecnéj* chwili? Zapewne ożywienia... jakiegoś działu, któryby nie był samemi tylko cyframi i nazwiskami.

Tem ożywieniem dotąd, jest najsmutniejsza strona *pamiętnika*, bo nekrologija; jednak mnóstwo osób czytało z zajęciem pięknie skreślone wspomnienie o ś. p. Ludwiku Panczykowskim, nie wiele troszcząc się o resztę.

Jedno z pism radziło wymieniać płace osób należących do sceny... kto wie, możeby i to cokolwiek zaciekawiło, my przecież nie radzilibyśmy tak drażliwej jawności.

Czytelnicy, zajmując się najwięcej sztukami i artystami, jako główną podstawą teatru, zapewne skwapliwiej zajrzeliby do cyfr pamiętnika, będących niejako otaksowaniem talentów, aniżeli do innych. Któż wie, czy później, patrząc na scenę, nie przyszłaby im ochota oceniać grę artystów podług ich uposażenia, czyby nie nabierali przekonania, że ten lub ów musi grać nieszczególnie, kiedy tak mało płatny! Kto wie wreszcie czyby od innych znowu,nie wymagali więcej niż dotąd?

Podług nas, ożywieniem pamiętnika nie odprowadzającem go od właściwego celu, byłaby, albo przy każdej nowej sztuce, zwłaszcza cieszącéj się powodzeniem, króciuchna wzmianka, wyjaśniająca przyczynę tego powodzenia, albo też poświęcenie osobnego działu na takie wzmianki.

Gruntem wziętości scenicznego dzieła jest samo dzieło, uzupełnione dopiero dobrem wykonaniem i stosowną wystawą. Niekiedy jednak gra artystów, albo jednego tylko artysty, utrzymuje na repertoarze miernotę i sprowadza publiczność.

Czemuby w takim wypadku nie wdając się w krytykę sztuki, nie wymienić artysty, któremu głównie zawdzięczyła swoje powodzenie; czemu przy wyższéj wartości dziełach, nie streścić ich zalet i nie wspomnieć o artystach, którzy te zalety uwydatnili, o wspaniałości wystawy itp? Takie notatki przydałyby się nawet i późniejszemu historykowi.

Toż samo, zastosowaćby można do ról gościnnych i debiutów. Nie wkraczając w granicę krytyki, autor mógłby przynajmniéj upamiętnić świetniejsze powodzenia i talenty, zanimby zmuszony był dokonać tego dopiero w nekrologii. Życiorysy artystów, stanowiłyby także dział zajmujący: nareszcie w ciągu każdego roku, zdarzają się w teatralnym świecie wypadki, mogące zaciekawiać lubowników sceny, jak np. benefisy, owacje przy ukończeniach zawodu itd. itd.

Rozumiemy, że takie dopiski, czy też osobne działy, powiększyłyby objętość książki i prace autora, ale z pewnością przyczyniłyby się do jéj rozpowszechnienia. Wiele osób przy *przyjemnem* spojrzałoby i w *pożyteczne*, przy ponętniejszem, powzięłoby jaśniejsze wyobrażenie o działalności i stopniowym rozwoju sceny, będących rzeczywistym celem skrzętnéj, zasługującéj na uznanie pracy pana Goślickiego.

J. Chęciński.

Przegląd literatury zagranicznej.

ŻYCIE KOPERNIKA
I HISTORYA ODKRYCIA UKŁADU ŚWIATA.

PRZEZ

Kamilla Flammariona.

(Vie de Copernic et historie de la decouverte du système du monde, par Camille Flammarion. Paris Librairie Academique, Didier et Co. 1872.)

przez

Joannę Belejowską

(Dokończenie.)

„Słońce jest gwiazdą nieruchomą, otoczoną szeregiem planet krążących około niego; jest ono zarazem środkiem ich biegu i pochodnią oświetlającą. Oprócz planet głównych są planety drugorzędne, czyli księżyce, najprzód w około swych planet a następnie wraz z niemi około słońca bieżące. Ziemia jest *planetą główną, mającym bieg trojaki*, wszystkie zaś widowiska biegu dziennego i rocznego, wszystkie pory roku i wynikające z nich odmiany w świetle i w powietrzu, są skutkami wirowego biegu ziemi około swéj osi i peryodycznego jéj biegu około słońca. Wszystkie biegi gwiazd stałych są tylko złudzeniem naszego wzroku, a w rzeczywistości prawdziwym wynikiem biegu ziemi. Nakoniec, w biegu wszystkich planet, tak pierwszo jak drugorzędnych zachodzą dwojakie skutki, które bacznie rozróżniać należy, jako to: jedne pochodzące od biegu ziemi, drugie wynikające z ich własnego obrotu około słońca. Oto nieuznane prawdy fizyki niebieskiéj, objawione w nieśmiertelnem dziele Kopernika: *O obrotach ciał niebieskich.*

Kopernik pierwszy odgadł prawa powszechnego ciężenia, mające później unieśmiertelnić Newtona, wzniósł się on do tego ogólnego pojęcia: że ciężkość nietylko jest dążeniem ciał do środka świata, ale i wzajemnem do siebie dążeniem cząstek. Według mnie, mówi on, ciężenie jest to pewna przyrodzona dążność nadana cząstkom ciał przez Stwórcę wszech rzeczy w tym celu, aby skupiając się w bryły kuliste, zmierzały do swéj jedności i całości. Nie sama tylko ziemia, ale oraz słońce, księżyc i wszystkie planety posiadają tę własność,a cząstki ich siłą ciężkości zebrały się i skupiły w okrągłe bryły i tąż siłą utrzymują się w widzialnej nam postaci, a mimo to w różny sposób okazują swoje obroty. Jeżeli więc i ziemia oprócz wirowego podlega jeszcze innemu biegowi t. j. na około środka świata, tedy ten drugi jéj bieg powinien odbić się w innych ciałach zewnątrz niéj położonych, a przedewszystkiem w rocznym biegu słońca. Jakoż, jeśli zamiast biegu słońca, podstawimy bieg ziemi, a słońce uważać będziemy za nieruchome, wtedy wschód i zachód znaków zwierzyńcowych i gwiazd stałych czyniący je rannemi i wieczornemi, tymże samym sposobem nam się przedstawią. (Ks. 1. roz. 9.)

Liczne i dokładniejsze obserwacye Tychona-Brahe ur. w Norwegii r. 1546†1601.) dorzuciły nowych materjałów z których Galileusz, ur. w Pizie 1564 †w Arcetri 1642) Kepler (ur. w Szwabji 1571†w Ratyzbonie 1630) i Newton (u. 1642†1727) idąc za pomysłem Kopernika, zbudowali wspaniały gmach tegoczesnej astronomii. Tak więc świat, zawdzięcza Kopernikowi nowy zwrot i prawdziwy kierunek nadany myśli ludzkiéj w poznawaniu ciał niebieskich; zawdzięcza mu najważniejsze wynalazki, wynikające z dochodzenia i badania biegu ziemi, zawdzięcza mu drogę analogii w fenomenach i przyczynach, dającej początek znacznéj części dzisiejszych wiadomości; nakoniec zawdzięcza mu cały porządek nauki według którego uszykowały się w astronomii, i prace już dokonane i te jakie w kolei wieków dokonane jeszcze zostaną.

Cały ówczesny świat uczony wiedział o pracach Kopernika i znał ze słyszenia jego nową teoryę obrotu ziemi, ale dzieło jego: *O obrotach ciał niebieskich* które przez długie lata poprawiał i uzupełniał dopiero w 1543 zostało ogłoszone drukiem. Skromny i nie uganiający się za sławą, a może nie chcąc się narażać na walkę z przesądem, Kopernik ociągał się długo z wydaniem swego nieśmiertelnego dzieła; uległ jednak nareszcie prośbom i naleganiom przyjaciela swego Tydemana Gize Biskupa Chełmińskiego i kardynała Schomberga i oddał mu rękopism, który tenże powierzył uczniowi i wielbicielowi Kopernika, Jerzemu Joachimowi, zwanemu Retykiem, dla ogłoszenia go drukiem w Norymberdze. Retyk był profesorem matematyki w Wittembergu, i porzucił katedrę aby zostać uczniem i przyjacielem wielkiego astronoma.

Dzieło swoje ofiarował Kopernik papieżowi Pawłowi III i odpowiednią napisał dedykacyę. Paweł III był to mąż głębokiéj nauki, znawca i miłośnik matematyki, i dzięki zapewnie jego opiece żadnych nie doznało przeciwności, i dopiero d. 5 marca 1616 roku i 15 maja 1620 r. zostało potępione przez kongregacyę Indexu, jako zawierające wyrażenia przeciwne Pismu św. Głównie żądano poprawek, a mianowicie: aby, jak to uczynił Ozyander, w dodanej do dzieła Kopernika przedmowie, teorya tegoż o obrocie ziemi nie za pewnik, ale za *hipotezę* podaną była. Dekret ten kongregacyi Indexu przez uczonego papieża Leona XII zniesionym został (1828).

Ci co z tego tytułu tak bardo powstają na kościół katolicki zapominają, że błąd jego podzielali wówczas najznakomitsi nawet uczeni, a między innymi Tycho-Brahe, który choć zgadza się z Kopernikiem co do położenia planet w około słońca, obstawał przecież przy nieruchomości ziemi i kazał słońcu i planetom w około niéj się obracać, Podobna kombinacya była mechanicznem niepodobieństwem i opóźniała rozpowszechnienie prawdziwego układu świata,—a przecież Tycho był znakomitym astronomem. Natomiast wielu kardynałów i dostojników kościoła, pojmowało i uznawało naukę Kopernika.

Pierwszy exemplarz dzieła przyniesiono siedmdziesięcioletniemu starcowi, gdy już dusza jego do lepszego zabierała się świata. Spojrzał na książkę, dotknął jej osłabionemi rękami, ale czując iż zbliża się ostatnia godzina, myślał już tylko o przygotowaniu się na drogę wieczności. Oddał Bogu ducha d. 24 maja 1543 r.

Tę datę zgonu podaje Adryan Krzyżanowski i Encykl: Powsze: Orgelbranda. W rozprawie Sniadeckiego podany jest dzień 1 czerwca. Dominik Szulz w swojem „Życiu Kopernika" trzymając się Prove'go, podaje d. 21 maja, mówiąc że dzień ten zgadza się z zapiską zrobioną na pierwszem wydaniu

Kroniki i tablicą genealogiczną gdańską. Gize podaje 23 maja. Tejże daty trzyma się Juljan Bartoszewicz, nadmieniając iż inni podają skon Kopernika około połowy maja. Co do roku żadna nie zachodzi wątpliwość.

W przypisku na str: 187 Flammarion pisze, że Schubert w swojej *Astronomii* (część 1, str. 115) i Robert Smal, w swojem uczonem dziele *Account of the astron. discoveries of Kepler*, (1804 str. 92) dowodzą, że Kopernik nie w kilka godzin jak to powszechnie podają, ale umarł dopiero w kilka dni po wydaniu jego dzieła. Voigt, dyrektor archiwum Królewieckiego, ogłosił drukiem list pisany do księcia pruskiego po śmierci Kopernika, przez kanonika z Ermelandu, Jerzego Donner, w którym jest powiedziane, „że szanowny i czcigodny doktór, Mikołaj Kopernik, *na kilka dni przed śmiercią* dał światu poznać uczone dzieło swoje, jak łabędź który śpiewa przed śmiercią."

Podajemy te szczegóły dla dowiedzenia, że Flammarion sumiennie opracowywał „Życie Kopernika" i znał wszystkie niemal odnoszące się do niego źródła...

Kopernik pochowany został w katedrze Warmijskiej, napis zamieszczono na płaskim kamieniu, którego głoski prawie zupełnie się zatarły.

W Obserwatorium paryzkiem, pisze Flammarion, znajduje się wielki portret Kopernika, malowany w 1735, według oryginalnego portretu zachowanego w Bibljotece Toruńskiéj, po nad którym umieszczony jest napis łaciński, mieszczący się pierwotnie na grobowej płycie wielkiego męża. Napis ten brzmi jak następuje.

Non parem Paulo veniam requiro
Gratiam Petri neque posco, sed quam
In orucis ligno dederis latroni
Sedelus oro.

„Nie żądam przebaczenia udzielonego Pawłowi, nie spodziewam się łaski danéj Piotrowi, błagam tylko o miłosierdzie okazane łotrowi, przybitemu do krzyża."

O ile napis ten jest autentyczny, czy rzeczywiście był wyryty na grobie nieśmiertelnego astronoma— nie wiemy, to pewna że Tadeusz Czacki i Marcin Molski, wysłani przez War. Towarz. Przyjaciół Nauk dla odszukania pamiątek po Koperniku 1802 po oczyszczeniu grobowego kamienia, znaleźli na nim tylko litery Nicol...Cop....us, a w drugim wierszu Obiit AN....M....inne litery zupełnie były zatarte.

W lat 38 po śmierci Kopernika, Marcin Kromer, dziejopis polski, zostawszy biskupem Warmijskim kazał wznieść piękny pomnik poświęcony pamięci Kopernika. Był to hołd oddany niespożytej jego zasłudze imieniem polskiego narodu.

Mylnie podaje Flammarion, że pierwszy Gaszendi pisząc biografje sławnych matematyków, zamieścił w nich krótki życiorys Kopernika, gdyż jeszcze w r. 1627, Szymon Starowolski, korzystając z notat i wiadomości, dostarczonych sobie przez Brzoskiego profesora matematyki w uniwersytecie krakowskim, zamieścił życiorys Kopernika w Biografji znakomitych Polaków, wydanej przez niego w Wenecyi. Zdaje się iż przeciwnie Gassendi korzystał z pracy Starowolskiego, wydanej 27 lat prędzej niż jego dzieło.

Daléj, powołując się na rozprawę Arago, Flammarion wspomina iż podczas kampanii pruskiéj, Napoleon I będąc w Toruniu, odwiedził grób i dom w którym kiedyś mieszkał Kopernik. Domek zamieszkany był wówczas przez jakiegoś tkacza, który w pokoju Kopernika pozostawił wszystko jak było za czasów nieśmiertelnego astronoma. Nad skromnem łożem wisiał portret jego; Napoleon chciał go nabyć i zamieścić w Luwrze, ale tkacz odmówił mówiąc, że uważa go jako relikwię przynoszącą szczęście domowi i rodzinie.

Napoleon kazał odnowić swoim kosztem grobowiec Kopernika.

Dalej opisuje starania Tow. Przyj. Nauk a głównie szanownego prezesa tego zgromadzenia Staszyca, w celu zebrania składek na pomnik dla Kopernika przez subskrypcyę narodową. „Kraj odpowiedział z zapałem na to wezwanie; ze wszystkich stron nadesłano składki, w których największy udział przyjął sam Staszyc, i wykonanie pomnika powierzone zostało słynnemu Thorwaldsen'owi. „Mistrz ten pojął, że powinien wynagrodzić niesprawiedliwość trzech wieków i wytworzyć dzieło, mające świadczyć o wdzięczności całego narodu,—to też statua Kopernika liczona jest do najlepszych jego utworów".

„Staszyc już nie żył gdy pomnik z Rzymu nadszedł do Warszawy, w miejsce jego Juljan Niemcewicz przewodniczył Tow. Przyjaciół Nauk, i jemu też polecono wypowiedzieć mowę inoguracyjną. Ta uroczystość narodowa odbyła się dnia 5 Maja 1829 roku. Niezliczone tłumy osób wszelkiego stanu i wieku za'egły Krakowskie Przedmieście i okoliczne ulice. Z początku czas był pochmurny,lecz zaledwie Niemcewicz skończył mówić i odkryto statuę, niebo niespodziewaną zajaśniało pogodą, a słońce przebijając chmury, spuściło swe promienie prostopadłe na czoło wielkiego astronoma polskiego.

„Dziś każdy umiejący ocenić wielkie zasługi Kopernika jeśli dane mu jest być w Warszawie, zatrzymuje się przed pomnikiem wielkiego męża, przywodzącym na myśl tak wielką zasługę i tak straszną niewdzięczność. I staje w myśli długi szereg męczenników którzy cierpieli za to, że się wznieśli nad swoich współczesnych: Krzysztof Kolumb w kajdanach, Galileusz w więzieniu, Kepler umierający z głodu, Kopernik nieprzyjęty, wyśmiany i wyszydzany przez komediantów i kuglarzy, a obserwatoryum jego zamienione przez Prusaków na więzienie dla zbrodniarzy!...

„Uczeni polscy zamierzają nader uroczyście obchodzić w Toruniu *czterech-setnią* rocznicę urodzin nieśmiertelnego astronoma, lecz może Prusy militarne i despotyczne,nie zezwolą obchodzić swobodnie uroczystości na cześć bohatera pracy i myśli, który nie przelał ani jednéj kropli krwi i żył tylko dla dobra ludzkości, jako lekarz duszy i ciała, i twórca astronomii."

W ostatnim rozdziale przebiega autor prac i postępy w astronomii dokonane przez następców Kopernika, i tak. Tychona Brahe, Maestin'a, Galileusza, Keplera i Newton'a, i kończy temi słowy.

„W miarę postępu nauki i dokładniejszych badań wspartych na spostrzeżeniach i rachunku, coraz nowe świadectwa i dowody potwierdzały systemat Kopernika. Żaden fakt nie osłabiał go ani obalał, jak to miało miejsce z systematem pozorów, ilekroć zastosowano do niego dokładniejsze spostrzeżenia. Fizyka, mechanika, chemja, matematyka, przychodząc w pomoc astronomii, nowym otaczały blaskiem teorję wygłoszoną przez Kopernika i Galileusza. Dziś Astronomija stała się nauką wspierającą się na niewzruszonych podstawach, nauką powszechnie szanowaną i godną uwielbienia, a wielkość tę swoją zawdzięcza ona genialnym badaczom przyrody, których przeczysta sława, otoczona świetną aureolą, w najdalsze przechowa się wieki, — zawdzięcza ją najgłówniéj sławnemu polskiemu kapłanowi z Frauenburga, który życie całe poświęcił zbadaniu praw kreacyi, i umarł pozostawiając światu najwznioślejsze dzieło, jakie tylko mogło powstać w umyśle ludzkim—zbadanie systematu świata".

Jako dodatek do swego dziełka, zamieszcza Flammarion streszczony przekład zasadniczych ustępów nieśmiertelnego dzieła Kopernika *„O obrotach ciał niebieskich"* a w końcu wymienia wszystkie pięć jego wydań, j. t. Pierwsze wydanie wyszło w Norymberdze z rękopismu autora, w 1543 w języku łacińskim. Drugie, także łacińskie, wyszło w Bazylei, w 1556. Trzecie w Amsterdamie, wydane w 75 lat po śmierci autora, wolne jest od omyłek drukarskich dwóch pierwszych edycyi, i wydane daleko staranniéj pod względem typograficznym, przez uczonego Mikołaja Müllera. Czwartą odycyę stanowi przedruk poprzedniéj, dokonany w Amsterdamie w r. 1640, i nakoniec piątą i ostatnią wydaną nader starannie i okazale, w Warszawie, w 1854 w języku łacińskim i polskim, staraniem autora przekładu p. Baranowskiego".

— Oto treść dzieła najpopularniejszego z pisarzy francuzkich Kamila Flammariona: nie jest to zapewnie żadne dzieło pomnikowe,nie znajdziemy w niem nawet żadnych nowych danych odnoszących się do życia Kopernika, bo te najzupełniéj o ile się dało wyczerpali polscy pisarze, ale to ocenia sprawiedliwie niespożyte zasługi genialnego astronoma, wykazuje niezmordowaną pracę i walkę staczaną nieustannie z przesądami i ciemnotą. Widać znakomity autor ukochał całem sercem naszego astronoma; i dla tego pisze o nim z uczuciem i ciepłem udzielającem się koniecznie czytelnikom. Bardzo mało jest cudzoziemców mogących czytać Krzyżanowskiego, Szulca i Bartoszewicza, winniśmy więc wdzięczność i uznanie francuzkiemu uczonemu, który dziełkiem swojem daje światu poznać ziomka naszego, nietylko jako genialnego astronoma, ale jako najzacniejszego człowieka i wzorowego kapłana.

DANTE, WERGILI

I BEATRYCZE.

(Dokończenie.)

Żywioł opisowy i elegijny przejawia się tu w tak ciągłych, a wielkich obrazach i dźwiękach, w takiéj malowniczości i muzyczności uczucia poetycznego, z tak niewyczerpanym nigdy darem przyjmowania i oddawania najstraszniejszych i najmilszych, najgroźniejszych i najsłodszych wrażeń, jakichby się podobnych przykładów razem tylko z całej poezyi całéj ludzkości, od wybujałych płodów gorącego wschodu aż do powiewnych a powietrznych bladej północy, może się zebraćby dało. Alegoryczność nie jest tu tylko igraszką rozumu i bawidełkiem dowcipu, ale najsilniejszą dźwignią twórczej wyobraźni: i oddaje całą świetną symbolikę ducha chrześcijańskiego i sztuki chrześcijańskiej w wielkości i powszechności, w systemacie i w wynikach, w jakich ją tylko gocka architektura przeprowadzić była w stanie. *Boska komedyja* jest powszechną a bezwzględną alegoryją, w powszechnym a bezwzględnym rozwoju twórczéj wyobraźni świata chrześcijańskiego. Satyra następuje, ale nie ta, o któréj rzymski

ów poeta powiedział, że jéj *nie pisać* tak trudno 1); ale ta trudna i szlachetna, powstająca na zepsucie nie w chęci wyszydzenia, ale poprawienia, która ze skrwawioném sercem robi wyrzuty czystéj myśli, i drżącą ze współczucia, acz silną przekonaniem ręką trzyma przed obecnością źwierciadło Meduzy, satyra ta w najwyższém i najpiękniejszém znaczeniu stanowi jeden z głównych żywiołów *Boskiéj komedyi*: gromi potęgą Tytana i jęczy żalem pokutnika, wyzywa niebiosa o pomstę, a piekło o litość, i karci kochanych, a kocha karconych z ironiją tak pełną miłości, i z szyderstwem tak wzniosłém, o jakich dać tylko może wyobrażenie zlany razem gienijusz Juwenala i Izajasza, gienijusz najostrzejszego satyryka Rzymian i najszczytniejszego cenzora Izraela. Żadne z pewnością dzieło poetyczne wierniej niewypełnia tych dwóch wielkich warunków obudzenia grozy i litości, które Arystoteles przepisał był wielkiéj prawdziwéj tragice, jak ta *Boska komedyja* co zarówno „wieczne cierpienie jak i pierwszą miłość" 2) objęła i z tą samą potęgą gienijuszu kreśliła wieczne katusze piekła, co i wieczne rozkosze raju. Wreszcie pierwiastek dydaktyczny w tém dziele, nieograniczа się na pewnéj drobnéj tylko nauce, na jakiéj urwanéj części, ludzkich badań i dociekań; obejmuje całą wiedzę danéj epoki, odtwarza całą chrześcijańską scholastykę we wspaniałych kształtach sztuki, i daje poetyczną summę średniowiecznéj mądrości, jak św. Tomasz dał jéj filozoficzną.

Dante, w dziejach literatur wszystkich wieków i ludów przedstawia jedyne, dziwne zjawisko! Gdy czytająca, europejska publiczność przez dwa wieki z obojętną niewiadomością poglądała na gienijalny utwór Dante'go, który podobało się poecie nazwać *komedyją;* gdy ta komedyja, pisana na lat trzysta przed Cerwantesem i Szekspirem,na lat pięćset z górą przed Getem i Bajronem, tak długo leżała w grobie zapomnienia, lub co gorzej, sądzona na wiarę stronnych a płytkich zdań Woltera 3); w pierwszej połowie naszego stulecia, od lat trzydziestu kilku mianowicie w Niemczech: Szlegel, Bruk i Strechfuss, we Francyi zaś: Villemain, Delecluze, Fouriel i Labitte, że pominę wielu innych, których szereg z każdym wzrasta rokiem, jako wykładacze i tłomacze poświęcali i poświęcają Dante'mu uczone swe pióra. We Francyi Ozanam 4) całe życie poświęcił estetycznym i filozoficznym badaniom nad *Boską komedyją.* To też Ozanam gienijalnie tłomaczy tajemnicę tego, tak powszechnego w naszym wieku zajęcia się Dantem. Dante, mówi głęboki myśliciel, Dante, filozof i teolog, poetyzujący *summę* św. Tomasza z Akwinu, pierwszy i najgienijalniejszy poeta dogmatów katolicyzmu, żarliwy apostoł moralnego Piękna, najwyższego Dobra i wiekuistej Prawdy, rozwiązując zadanie najwyżéj obchodzące całą ludzkość, zadanie pozaświatowych jéj przeznaczeń i przyszłego bytu w wieczności—Dante- piérwszą epokę, odrodzenia się chrześcijaństwa, to jest całe wieki średnie zamknął w pomnikowém dziele swojém. W naszém stuleciu społeczność europejska, wychowanka niewiry i czczego filozofizmu wieku XVIII, znudzona bojętnością religijną, tracąc powoli ufność do rzekomo-filozoficznéj pychy rozumu, który, o własnych idąc siłach krokiem chromym a kulejącym, po za obrębem Objawienia, po tylu próżnych wysiłkach nie poprowadził jéj jednak do obiecywanego Eldorado; sama, pod opiekę trzech świętych przewodniczek: Wiary, Nadziei i Miłości, otwiéra sobie drugą epokę odrodzenia religijnego w duchu, idąc do niéj drogą rozumową. Na téj drodze, niestety, jeszcze po większéj części zarosłéj pasożytném zielem doktryny, filozofizmu i mrzonek społecznych, smutną puścizną po wieku Woltera, na tem pograniczu dwóch epok odrodzenia się ludzkości, stoi Dante ze swoją *komedyją* i jak drogoskaz jaki, idącym po niej tegoczesnym pokoleniom ze zbolałem sercem i zawiedzionemi nadziejami, wykazuje cel ich ziemskiego pielgrzymstwa, jako pole doczesnéj walki i zasługi. Naszem zdaniem, jednym z najważniejszych może powodów potężnego wrażenia, jakie na nas sprawia *Boska komedyja* Dante'go, jest owa głęboka wiara, jaką tchnie cała jego opowieść, dalej, uroczysty ton jego przygód, drobiazgowe powiązanie szczegółów, staranne, bez przerwy, wyjaśnienie czytelnikowi zarówno formy, jak dokładnych wymiarów wszystkiego cokolwiek opisuje. Wszystko to najdziwniejszym nawet jego pomysłom, nadaje najzupełniej cechy rzeczywistości. Wiara, jest ową gwiazdą przewodniczką, która Dante'go nie opuszcza na chwilę w całym pochodzie, w podziemnych zarówno jak i w nadziemskich krainach.

Ztąd też wątpliwości nie ulega, że poemat ten w którego każdem niemal wierszu prześwieca ideał Ewangielii, pełen jest przepychu i wzruszeń, zrozumiałych li tylko dla czytelnika — chrześcijanina. Na każdej karcie widnieje przewodnia nić jego, najwyższy ideał myśli chrześcijańskiej: miłość Odkupiciela, czyli, jak ją Dante ogólnie nazywa, miłość słońce i gwiazdy poruszająca. Ta to miłość była podstawą wszystkich myśli i uczuć poety; w tym też ideale miłości chrześcijańskiej, rozwiąże się w końcu najwszechstronniej cały ów wielki dramat dziejów powszechnych. Po tem więc cośmy powiedzieli, dziwić nie powinno, że w 52 lata po śmierci wieszcza, Boccaccio za upoważnieniem władz rzeczypospolitej Florenckiej, wykładał *Boską komedyją* w kościele. Jego, niestety, niedokończony komentarz jest jednem z najbogatszych źródeł do obszernych studyów nad arcydziełem Dante'go. Za przykładem Florencyi poszły: Piza, Bolonija i Wenecyja, i pozakładały uczone katedry dla wykładu i objaśnień komedyi Dante'go Najpierwsze znakomitości włoskie zajmowały się wykładem i tłomaczeniem tekstu tej arcy—epopei chrześcijańskiej. 1)

Wszakże opierając się na powszechności sławy Dante'go, ośmielamy się twierdzić, że *Boska komedyja*, czytana nawet tylko jak *Eneida* lub *Iljada* to jest bez przekonania religijnego, zdoła jednak wykazać, że Ewangielija otwiera gienijuszowi przestworza nowe, świetniejsze i większe, niż obszary starożytnego Parnasu, i że Beatrycze prowadzi wyżej niż Wergili.

Dra. Wł. M.

1) „*Difficile est satiram non srcibere*" Juvenalis Sat. I. r. 30.

2) „ *eterno dolore,... e' el primo amore*", ze znanego napisu u wrót piekielnych. (Piekło, III. 2—6.)

3) Na dowód, jak żadną, w tym razie jest powaga Woltera (o którym dość trafnie powiedziano, że był to robak, żądłem swém podtaczający każdy kwiat ludzkości,) dosyć powiedzieć, że ten pyszny literat—pochlebca i rzekomy filozof z Fernej, za nic mający Dante'go, Szekspira karczemnym zwał wierszokletą!

4) Autor najznakomitszego może w tym rodzaju dzieła: *Dante et la philosophie catholique au XIII siecle*, któremu zawdzięczamy najlepsze myśli w tym artykule.

1) Tak: arcybiskup medyjolański *Jan Visconti* (1349) powołał do tej pracy dwóch obywateli florenckich, dwóch teologów i dwóch filozofów; na soborze w Konstancyi biskup *Giovanni de Serravale* czas wolny od zatrudnień obowiązkowych z przyjemnością poświęcał czytaniu *Boskiej komedyi* i rozmyślaniu nad nią; póżniej *Michał Anioł—Buonarotti* (ur. 1474†1564), *Rafael* (ur. 1483†1520) i *Ary Scheffer* (ur. 1795†1858) swe gienijalne czoła schylili przed Dante'm.

Jeszcze jeden dowód popularności arcydzieła Dante'go. Uczony jeden biblijograf włoski wyliczył do 700 przedruków *Boskiéj komedyi.* Tylu wydań, po Piśmie Świętém, nie doczekało się żadne dzieło, jakie kiedykolwiek wyszło z pod pióra człowieka.

WIADOMOŚCI
Z NAUK PRZYRODNICZYCH

(Dalszy ciąg.)

Mleko.

Mleko samo przez się stanowi zupełny i doskonały pokarm, ponieważ przez pewien czas, w niektórych okolicznościach dość nawet długi, bywa jedynem i wyłącznem pożywieniem równie dziecka jak i młodego zwierzęcia.

Krowa, koza, owca, oślica, oto są zwyczajne domowe zwierzęta, dostarczające mleko na pokarm człowieka.

Nieprzezroczyste, koloru białego, smaku słodkawego nieco, lżejsze od wody gdy jest czyste, cięższe cokolwiek po zebraniu śmietanki, mleko przedstawia stosownie do klimatów, pór roku, miejscowości i sposobu utrzymania zwierząt, różnice znaczne, nie tylko co do rodzajów samychże zwierząt, lecz i co do osobników które je dają.

Czosnek naprzykład, znajdujący się w paszy, udziela mleku zapach bardzo przykry, piołun, smak mocno gorzki; marzanna, indycht (indigo), szafran, etc. widocznie je zabarwiają. Wiadomem jest także, że wydój mleka może nagle być wstrzymany pod wpływem bólu, gniewu lub strachu.

Głównie mleko krów szczegółowo przez chemików badanem było, niém się więc zajmiemy obszerniéj nieco w tem co nastąpi.

Kiedy mleko po wydojeniu zostawione jest w spokoju, po kilku godzinach pokrywa się warstwą żółtawą, gęsto tłustawą, znaną pod nazwiskiem *śmietanki* i *śmietany*, która niczem innem nie jest tylko tłuszczem czyli *masłem*, wchodzącem w skład tego naturalnego płynu. Płyn zostający pod spodem téj warstwy smietanowéj, jest koloru biało błękitnawego cięższy i mniej spojny, jest to *mleko zebrane.*

Zostawione same sobie przez dni kilka lub za dodaniem małéj ilości *podpuszczki*, mleko się zsiada, to jest skupia się w biało niebieskawe, w pół stałe massy, wśród cieczy rzadszej, przezroczystéj i żółtawej. Ten stan znany jest pod pospolitem mianem *kwaśnego* lub *zsiadłego mleka*, w naukowem zaś pod nazwą *kazeinu*: płyn żółtawy i przejrzysty jest to *serwatka.*

Teraz rozpatrzmy te trzy substancye oddzielnie wzięte: *serwatkę, kazein i smietankę*, które składają mleko i dają się oddzielić zupełnie naturalnemi sposobami.

Serwatka albo *serum*, składa się z wody trzymającej w rozpuszczeniu substancyę cukrową, sole wapienne i małe ślady okwasu żelaza i kwasu fosfrowego. *Cukier mleczny*, dający serwatce smak słodkawy, jest ciałem krystalicznem, rozpuszczalnem w wodzie, mało słodkiego smaku: jest to substancya pożywna. Sole wapienne i magnezyowe pożyteczne są w pokarmach, wprowadzając do organizmu fosforany i węglany wapna, służące do podtrzymywania części mineralnych, składających kości.

Kazein jest to substancya biała, bez zapachu, bez smaku, nierozpuszczalna w wodzie, mająca wielkie podobieństwo ze skrzepłem białkiem, zatem obfitująca w azot, a ztąd i bardzo pożywna. Substancya ta stanowi podstawę wszystkich serów.

(d. c. n.)

N. 46. Przyjaciela dzieci wyszedł z druku i zawiera: Św. Jan Apostoł i Ewangelista, przez M. S. (z ryciną).—Dwa wieczory, przez Maryę Brühl. — Trzy odpowiedzi (legenda) przez Jana Chęcińskiego.—Wspomnienie z życia Piotra Kmity, (z drzeworytem).—Los rozbitków należących do wyprawy ku biegunowi północnemu. (Dokończenie).—Piaszczyste słupy w stepach (z ryc). Czyny nauczające, przez Teressę Jadwigę—Korespondencye.—**W dodatku:** Przygody Ryszarda Angielskiego.—Opowiadanie historyczne ułożone z powieści angielskich pisarzy. (Ciąg dalszy).

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 47 r. 1872.

ZŁOTY KLUCZYK

przez

OKTAWIUSZA FEUILLET.

(Dalszy ciąg.)

— Daruj pani, ale sądzę iż kiedy dzierżawcy płacą, a młyny idą, wszystko jest w porządku i nie ma co brudzić sobie rąk tem bezeceństwem.

— Tak pan sądzisz, rzekła spoglądając na mnie z zadziwieniem prawie pogardliwem..... znać zaraz Paryżanina!..... A któż zarządza majątkiem twoim, jeśli wolno zapytać?

— Najpierw, naturalnie, notaryusz, a następnie jakiś tam rządca, któremu zaraz odeślę te obrzydłe papierzyska.

— O nie! panie, odrzekła, jeśli już czujesz tak nieprzezwyciężony wstręt do rachunków i spraw gospodarskich, to pozwolisz, że ja się niemi zajmę, choć chcąc temu podołać, wiele rzeczy nauczyć się muszę.

— Niestety! a ja to samo. Ale powiedz mi, proszę. czyż to nieubłagana jaka fatalność, skazuje koniecznie jedno z nas na tę pańszczyznę bez chwały i korzyści?

Tu zaczęła mi rozpowiadać osłaniając ile się dało, długą bardzo historyę, z której powziąłem przekonanie, że ojciec jéj, jenerał du Chesny, był to jeden z tych ludzi o jakich słusznie można powiedzieć „że poczciwsi wisieli“. Hulał co się nazywa i trwonił majątek, a nadto dał się opętać rządcy swemu, wierutnemu łotrowi, który wypożyczał mu własne jego dochody na ogromne lichwiarskie procenta, a tak nietylko pozbawił go wielkiego majątku, ale nadto naraził na to straszne upokorzenie, iż obmierzłe postacie komorników zaczęły pojawiać się w pałacu generała. Wówczas oprócz pałacu w Paryżu i majętności du Chesny, jenerał posiadał jeszcze znaczne dobra w Normandyi, ale dzięki niegodziwości rządcy, hipoteka ich tak była przeciążona długami, iż zdawało się, że zaledwie można będzie zaspokoić wierzycieli. Położenie było rozpaczne. Widząc to jenerał powtarzał nieustannie, że go przywiedziono do nędzy, że nic mu nie pozostaje jak w łeb sobie wypalić, a mówił to najczęściéj do żony, któréj majątek roztrwonił. Pani du Chesny znosiła wszystko z anielską cierpliwością, nie robiła mężowi żadnych wyrzutów, a nadto uzyskawszy jego upoważnienie sprzedała dobra w Normandyi i pałac w Paryżu, i częścią spłaciwszy, częścią ułożywszy się z dłużnikami, zatrzymała majętność du Chesny, i skłoniła męża, że się doń przeniósł na mieszkanie. Osiedliwszy się tu, sama objęła zarząd majątku, gospodarowała wzorowo i tak ład i oszczędność zaprowadziła w wydatkach, iż po dziesięcioletniéj pracy spłaciła resztujące długi, oczyściła zupełnie hipotekę dóbr du Chesny, czem zapewniła 20,000 fr. czystego dochodu, a co więcéj ocaliła honor domu. Teść mój *(in partibus)* krzyczał, wrzeszczał, że jest najnieszczęśliwszą ofiarą, że go skazano żyć w tak zaklętym kącie, prawił jéj najokropniejsze grubijaństwa, — cierpiała i milczała. Kiedy już spełniła szlachetne swe zadanie, i zdawało się, że znajdzie nagrodę w dziecięciu, którego przyjścia na świat oczekiwała—umarła we dwa tygodnie po urodzeniu Zuzanny.

— Biedna kobieta nie prawdaż, Jerzy.

Co do jenerała, ten pewnie po dziś dzień żyłby zdrów i wesół, gdyby wypadkiem nie zabił się spadłszy z konia.

Pani du Chesny umierając powierzyła opiekę nad córką dawnéj swojéj bonie, i kazała jéj przestrzegać Zuzannę, aby się nigdy nie spuszczała na rządców. Stara wiernie wywiązała się z tego polecenia. Do czasu za mążpójścia, dziadek i zarazem opiekun Zuzanny zarządzał jéj majątkiem; poznałeś tego miłego starowinę, istne dziecko któremu przypadkiem włosy posiwiały. Jest to magnat dawnéj daty, grzeczny, uprzejmy, bardzo miły w towarzystwie, jak najniefortunniejszy opiekun. Widać tak lekceważył interesa swéj pupilli, jak lekceważy wszystko wyjąwszy stołu i wina. Cała jego czynność, jako opiekuna, ograniczała się na tem, iż pobierał czynsze od dzierżawców, jeśli kiedy podobało im się je oddawać, i wydawał im prawie niepodobne do odczytania kwity. Oboje z Zuzanną zgodziliśmy się na to, że przyjmiemy i pokwitujemy na ślepo z rachunków opieki, jakie może przedstawić ten siedmdziesięcioletni motylek, ale pani d'Athol uważa, iż należy sprawdzić i przekonać się, jaki jest rzeczywisty stan jéj majątku. Trudno zaprzeczyć, że ma słuszność.

Otóż widzisz do jak nudnéj zapędziła mnie pracy, a co gorsza znam się na tem zupełnie jak Turek na Ewangelii,—ale powiedz sam, czyż mogłem zrucić ten ciężar na jéj słabe ramiona?

A co gorsza jestem pewny, że nie na tem koniec, bo gdy odchodziła zostawiając mnie z temi zbutwiałemi papierzyskami, widziałem wyraźnie w jéj oczach, jakby odblask piekielnéj radości i zadowolnienia. Czyżby w skrytości duszy układała straszną jakąś zemstę, któréj pierwsze uplotła ogniwa? lub czy w braku innych wrażeń, goni za tą ulubioną płci jéj uciechą, aby igrać z siłą męzką i Herkulesowi podawać wrzeciono?..... Jéj folwarki! jéj młyny!... No dobrze jeszcze, że mi nie każe nosić do nich mąki .... Dobranoc, Jerzy mój!

IV.

Du Chesny, 10 lipca.

Jerzy mój, ty ani pojmujesz w jakie wpadłem sidła. Wystaw sobie, w niewinności ducha byłem pewny, że w kilka godzin czasu ułatwię się z narzuconą mi pracą—dowodzi to tylko, że się nic a nic na tem wszystkiem nie znam. Pojmiesz jak byłem zły przekonawszy się, iż nie pozostaje mi: jak albo przyznać się do swéj nieświadomości i abdykować na rzecz Zuzanny, albo nie żartem wziąść się do pracy, do pracy tak zupełnie mi obcéj, iż muszę zaczynać od a. b. c. Mój drogi, przeczytałem już pięć tomów *„Nowy dom wiejski“* (wydanie ozdobne); przypomniałem sobie cały ukończony niegdyś kurs prawa; przyzywałem kilkakrotnie najbliższego notaryusza i w rozmowie zmuszony byłem słuchać i używać szkaradnéj jego terminologji prawnéj. Nie na tem koniec, jeździłem nawet do Jana Bailly, aby od tego doświadczonego rolnika, nauczyć się praktycznie co mi robić należy. Doprawdy, aż strach myśleć czego dokonałem, w tym krótkim przeciągu czasu, napracowałem się więcéj niż dotąd w całem życiu.

Ale bo też te przeklęte młyny i dzierżawy z swemi nieskończonemi nigdy obrachunkami, to istna wieża Babel. Najpierw trzeba było dojść, ile każdy fermier obowiązany jest płacić i do jakiego czasu należność swoją uiścił; po długiem szperaniu i rachowaniu wydostałem się nareszcie z tego labiryntu, lecz zarazem przekonałem się dowodnie, iż jeden z fermierów jest ostatni hultaj i złodziéj, i że postąpię nader wspaniałomyślnie, jeźli go tylko natychmiast wypędzę. I tak też zrobiłem,—ale zatem idzie nowy kłopot—muszę wziąść na siebie gospodarstwo w opróżnionéj fermie. To mi dopiero miłe zajęcie! pomyślałem; zwłaszcza, że obok tego muszę dopilnować odbudowania lub restauracyi opuszczonych budynków gospodarskich, naprawy dróg na których kark skręcić można, i tych przeklętych młynów, które nie wiem czy ze złości, czy z braku wody iść nie chcą, i nie wiem już wiele równie miłych i zajmujących czynności.

Ale cóż robić; wstyd mnie jakoś było przyznać się Zuzannie, do zupełnego pod tym względem nieuctwa, więc wziąłem się do pracy, klnąc w duchu na czem świat stoi. I czy uwierzysz? powoli zacząłem upatrywać w tych tak poziomych zajęciach, jakiś rodzaj smutnéj przyjemności,—przynajmniéj uwalniała mnie od długich godzin próżnia ctwa i nudy.

Przekonywam się teraz, przyjacielu mój, że pod łupiną najgrubszej, najniewdzięczniejszéj nawet pracy, Bóg zamieścił owoc pełen tajemniczego smaku, zazwyczaj biednym tylko znany—to jest jakieś słodkie, nieokreślone poczucie, wynikające z zadowolnienia wrodzonéj skłonności i spełnionego obowiązku. Pomijając nawet pracę przynoszącą nam korzyść, już samo choćby zajęcie daje nam pewien spokój i zadowolnienie, naprowadzając nas mniéj więcéj na prawdziwe drogi naszego ziemskiego przeznaczenia, zgodnie z harmonją wszech rzeczy.

Ów Kastor, który wsadzony do klatki, pracuje mimo to bezpotrzebnie nad budowaniem sobie mieszkania, nie jest bynajmniéj głupcem—jeśli mi Bóg życia dozwoli, postanowiłem sobie naśladować go w właściwym mi zakresie. Może przecież skończę kiedy obecne zadanie, wtedy w najgorszym razie, będę choćby wyplatał koszyki albo wyklejał pudełka, to tylko pewna, że obmyślę sobie jakiś rodzaj obowiązkowego zajęcia, któremu oddawać się będę równie regularnie, jak regularnie zasiadam do śniadania i obiadu, gdyż teraz pojmuję, że potrzeba pracy, tak jest wrodzona człowiekowi, jak uczucie głodu.

Tak więc mój drogi, jeśli zaprzęgając mnie do tego pługa, pani d'Athol miała na celu zemstę i chęć dokuczenia mi, zawiodła się najzupełniéj, gdyż przeciwnie zajęcie to sprawia mi pewne względne zadowolnienie. Łatwo jednak pojmujesz, że nie jest ono zdolne zapewnić mi, już nie powiem szczęścia, ale choćby spokoju. Znasz szczególniejsze położenie moje; mimowolnie ciągle stoi mi ono na myśli i przyznać muszę, że w coraz smutniejszych przedstawia mi się barwach. Mężczyzna odgrywający w obec kobiety rolę tak śmiesznie dziwaczną,

tak nie dającą się nawet nazwać ani oznaczyć, jeśli mimo to błogim cieszy się spokojem, to chyba upadł tak nizko, iż stał się bydlątkiem, które tylko puścić na trawę. Dzięki niebu, serce moje jak było tak jest najzupełniéj swobodne—ale to nie przeszkadza żeby nie bolało nad śmiesznością.....

Zresztą przyznać muszę, że pani d'Athol jest dla mnie nad wszelki wyraz grzeczną i uprzejmą, możnaby mniemać że pragnie przysypać różami ciernie, wystające na drodze mojego żywota. Widujemy się mało, ale będąc razem przesadzamy się w grzecznościach i nadskakiwaniu; nigdy może nie wypowiedziałem ani nie słyszałem tylu słodkich słówek.

Myliłem się donosząc ci, że w okolicy naszéj nie ma młodzieży; znalazło się w pobliżu trzech młodzieńców nie źle się ubierających, do tego dobrze jeżdżą konno, dobrze tańczą i noszą kwiaty przy boku. Cała okolica nazywa ich: Ci panowie. Otóż ci panowie mają siostry które widać bardzo pokochały Zuzannę, bo nie ma dnia żeby nie przysyłały braci z jakiemś do niéj poselstwem. Książki, nuty, formy, desenie, i różne podobne fraszki, służą dandysom za płaszczyk pokrywający inne zamiary.

Wczoraj Zuzanna, ubrana w skromnéj białéj sukni siedziała na kozetce w swoim buduarze, zajęta jakąś krzyżową robotą; wracałem z pola, a że okno było otwarte, ujrzałem ją zdaleka. Podszedłem zwolna i wsuwając głowę przez okno, zawołałem: Dzień dobry, pani. Drgnęła, następnie zaszczyciła mnie głębokim ukłonem, a po chwili rzekła: Ach! mój Boże! jak pan wyglądasz; jakiż to wielki kurz być musi....

— To nie kurz, przerwałem, to, z przeproszeniem pani mąka.

— Czy być może? zawołała wlepiając we mnie zadziwione oczy;—ale tak, wyraźnie mąka, nawet włosy pana są nią posypane.... I jakby wiedziona myślą oddania mi usługi, jakiéj smutny mój stan zdawał się domagać, wstała prędko i postąpiła ku mnie, lecz widać zastanowiła się i zarumieniona opadła na kozetkę.

Trzeba przyznać że jest wcale ładna, a obejście jej całe nacechowane jest jakby, że tak powiem skromną śmiałością, wielkiego dodającą jéj wdzięku.

Po chwili milczenia, zapytałem łagodnie:—No! jakże tam twój romans, moje dziecię? Widziałem wyraźnie, że igła zadrżała w jéj ręku jakby igiełka magnesowa.

— Ach! mój Boże, odrzekła! czyż pragniesz pan aby się jak najśpiesznéj urzeczywistnił?.. według mnie, nie ma nic pilnego, czekam.

Gdy słów tych domawiała, dał się słyszeć odgłos galopujących koni, i w alei prowadzącej do pałacu, ukazali się trzéj dandysowie; wszyscy jechali frontem obok siebie niby w bojowym szyku; kłaniali się rękami i kapeluszami. Popatrzywszy na nich, odwróciłem prędko głowę i z pół uśmiechem spojrzałem na Zuzannę. Zarumieniła się i kilka razy przecząco wstrząsnęła głową. Pomyślałem sobie: Jest ich trzech i to właśnie stanowi moją siłę.

Szczególniejszy jednak jest charakter téj kobiety! Gdybym mógł zapomnieć burzliwéj sceny w dzień naszego ślubu, gdyby ten potok słów gorzkich, gwałtownych, namiętnych nie brzmiał jeszcze w moich uszach, nie przypuściłbym nigdy, żeby piorun mógł ukrywać się w jéj dziecięcem łonie, żeby pod tak pogodną, uśmiechniętą powierzchnią, mogły wrzeć burze i gromy, a może nawet skały grożące rozbiciem...

Opiszę ci jak jéj czas upływa. Co ranek widzę ją z mego okna biegającą po rosie wśród kwiatów i krzewów, zrywającą i obcinającą pęki różnobarwnego kwiecia i gałęzi, z których następnie układa bukiety do swego buduaru i do salonu. A nie małe to zajęcie, tak starannie dobiera barwy i strzeże pewnych praw harmonii, rozmieszczając bukiety po wazonach, żardinierach, i wszelkich t. p. mieszczących się w pałacu skorupach. Gdy z pomocą ulubienicy swojéj Joanny (którą z całéj duszy nienawidzę) skończy nareszcie to wielkie zadanie, wtedy zasiada spokojnie wśród tego sztucznego gaju, i niby królowa kwiatów wydaje rozporządzenia podwładnym.

Po śniadaniu każe natychmiast siodłać Suluka i wyjeżdża ze mną lub sama, po godzinnej przejażdżce powraca zmęczona do domu, i dalejże co prędzej zabiera się do roboty. Haftuje, szyje, nie dość na tem, robi sobie suknie, nie popróżnuje ani chwili, jakby mniemała, że świat się skończy, gdyby choć kilka minut siedziała bezczynnie. Raz nawet zastałem ją jak wykończała jakiś dziecinny szpencerek z ordynarnego materjału, niech mnie licho weźmie, jeśli wiem dla kogo. Dodaj do tego wizyty i gości, których szczególnie wieczorem zawsze u nas pełno, czytanie, muzyka i różne praktyki religijne, a nakoniec długie, i częste konferencye z pewnym indywiduum, będącem, jak dotąd, jedynym moim rzeczywistym współzawodnikiem.

Jest to siwowłosy kapłan, proboszcz naszej parafii, który udzielił Zuzannie chrzest św. i od lat dziecinnych jest jej spowiednikiem. Dziwnie to dobry i prostoduszny człowiek. W każde święto bywa u nas na obiedzie i rozpowiada nam różne anegdoty i dykteryjki, które zapewne muszą być bardzo zabawne, bo sam do łez się z nich śmieje, a Zuzanna mu pomaga. Po całych godzinach przesiaduje z nią w jej buduarze, wychodzi od niej zawsze z bardzo poważną miną i plikiem papierów pod pachą. Jestem pewny że przedmiotem ich obrad są sieroty i biedni.

Nie mogę zakochać się w tem dziewczęciu, jest to zupełnem niepodobieństwem,—ale, przez Bóg żywy! jeśli wszystko to nie jest komedyją, jeśli rzeczywiście powzięła zuchwały zamiar, aby nabożeństwem stłumić gorącą żądzę życia, a gwałtowne namiętności miotające duszą rwącą się do ziemskiej miłości, zatopić w uczuciu chrześcijańskiego miłosierdzia, nie upadłem jeszcze tak nizko, abym tego nie miał czcić i wielbić ją jak na to zasługuje. Goni za marą niepodobną do urzeczywistnienia, — mniejsza o to! w każdym razie nie zapomnę o tych jéj pokuszeniach.

P. S.— Ale, ale, byłbym zapomniał donieść ci o dość dziwnem wydarzeniu. Wystaw sobie znowu potrzebowałem zasięgnąć w pewnej, gospodarskiéj sprawie rady Jana Bailly, tego luminarza naszéj okolicy. Spędziłem parę godzin w jego uczonem towarzystwie i zabierałem się do odjazdu, z obawy abym skutkiem dłuższego z nim przestawania, nie zamienił się czasem w wołu, gdy w tem powiedział że ma mi jeszcze coś pokazać..... ale to *coś co się nazywa!*... I wychyliwszy głowę oknem, zaczął wołać głośno: Hej! hej! chłopcze! zejdź no tu jeźli łaska!

Chłopiec zszedł i ujrzawszy go, o mało nie krzyknąłem z podziwienia ujrzawszy młodzieńca, którego z początku wziąłem za ciebie, Jerzy mój! Już to samo wiele się przyczyniło do tego złudzenia, iż nosi taki sam mundur i jednaki z tobą piastuje stopień, obok tego ten sam wzrost, rysy, oczy, nawet ruchy, tylko widać musi być słabowity, i złowieszcza bladość pokrywa jego lica. Jest to siostrzeniec Jana Bailly i od miesiąca już bawi u niego. Cierpi na piersi skutkiem rany otrzymanej w Afryce, i sypia w oborze z rozkazu doktora. Ofiarowałem mu do rozporządzenia mój park i konie, podziękował za wierzchowce, ale korzysta z pozwolenia przechadzki po parku. Odwiedza nas czasami, rozmowa jego jest zajmująca i ożywiona, tylko straszny entuzyasta I w tem więc zupełnie do ciebie podobny.

Zuzanna dowodzi mu za każdym razem, że widocznie tyje; żartuje trochę z jego sypialni, dość że zawsze odchodzi weselszy niż przyszedł.

Zaraz po pierwszem widzeniu Zuzanna powiedziała mi, iż zobaczywszy go w kościele uważała zaraz wielkie jego podobieństwo do p. Jerzego de Vernon tylko dodała, p. de Vernon jest piękniejszy, dzięki bliźnie jaką ma na twarzy. A ty może myślałeś, że ona cię szpeci. Dobranoc, drogi Jerzy.

Twój

Raul.

Chesny, 27 Lipca.

Wiwat! Jerzy mój, zwiozłem wszystko siano! wszystko co do joty, ma się rozumieć z fermy, którą zarządzam, gdyż inne nic mnie pod tym względem nie obchodzą.

A co to za siano! co za zapach! Suluk, który jest nader kompetentnym znawcą, raz go zakosztowawszy nie chce jeść innego.

Daléj moje młyny mielą tak doskonale i tak dobrze procentują, że przyszła mi ochota postawić jeszcze jeden.

Tyle co do spraw zewnętrznych,—co się zaś tycze wewnętrznych, często jestem zmuszony długo w noc pisać i rachować. Rozgatunkowywam, klasyfikuję, i zaciągam do wielkiego in folio treść, wszystkich oddanych mi przez Zuzannę papierów. Często, gdy tak czuwam samotnie, przychodzą mi do głowy myśli, jakie dawniéj nigdy się w niéj nie pojawiały.

Jerzy mój, poznaję teraz, iż próżniactwo nie tylko jest złem wyrodzeniem egoizmu, ale nadto poniżeniem i sromotą. Życie takie jakie dotąd wi odłem odosobniające się iześrodkowane samo w sobie, nie chcące dźwignąć choćby jednego ogniwa łańcucha i wedle sił swoich przyjąć udział w pracy społecznéj,—życie takie gwałci prawa opatrznościowe i bezprawnie przywłaszcza sobie miejsce pod słońcem: gdyby ziemia miała poczucie sprawiedliwości, odrzuciłaby takiego człowieka ze swéj powierzchni, i nawet miejsca na mogiłę odmówiła w swem łonie. O! wierzaj mi, przyjacielu! dziś już nie bez głębokiego poczucia wstydu, jak widz bezużyteczny spoglądam na ciężkie wstrząśnienia i walki, jakie wiek i kraj mój staczają;—ale do czego się wziąść? kędy biedz z pomocą? gdzie grozi niebezpieczeństwo? na którą stronę świat się przechyla? nie wiem. O! niech tylko głębsze przekonanie wyrobi się w méj dojrzalszéj i wytrawniejszéj dziś myśli, a druga połowa mego życia, może jeszcze okupić pierwszą tak nędznie zmarnowaną—a za nim to nastąpi, już sumienie moje będzie spokojniejsze, jeśli zdołam aby o tyle podnieść uprawę tego kawałka ziemi, żeby wydała choć jeden kłosek więcéj, któryby choć jednemu ptaszkowi zapewnił pożywienie.

A Zuzanna? W jéj życiu zdaje się nic się nie zmieniło. Trzéj muszkieterowie atakują zacięcie, ale zawsze przyjeżdżają razem, więc nie mam się czego obawiać. Wprawdzie Zuzanna odbywa często jakieś tajemnicze wycieczki w towarzystwie Joanny, ale, że zawsze zabierają pakiety staréj bielizny i różnych dziecinnych sukienek—więc i to tylko niewinna rozrywka, połączona z dobremi uczynkami.

Wczoraj, około ósméj, straszna zaszalała burza, jest to godzina w któréj zazwyczaj nadjeżdżają nas łaskawi sąsiedzi, i z tego powodu ani raz nie ponowiło się smutne sam na sam pierwszego wieczoru. Nadspodziewanie, ta gwałtowna burza skazywała nas na osamotnienie. Zdaje się Zuzanna o tem właśnie myślała, i stanąwszy w oknie, wybijała na

szybie jakiegoś marsza niewydanego jeszcze a ja, usiadłszy przy stoliku przerzucałem album, w którem nie ma jeszcze ani jednéj fotografji. Podano światło. Zuzanna prędko odeszła od okna, i przysuwając fotel swój do stołu, zabrała się do haftu; wtedy ja wstałem i przyglądając się i wąchając stojące na méj drodze bukiety, zacząłem powoli zbliżać się ku drzwiom, aby nadać méj ucieczce pozór bezmyślnego oddalenia.

— Jeślibyś wolał pracować w tym pokoju, rzekła na wpół podnosząc się z fotela, to ja przejdę do buduaru?

— Jeśli już koniecznie potrzeba, aby jedno z nas ustąpiło, pozwolisz pani, że ja się oddalę.

— Robiąc to zapytanie miałam na myśli; że są osoby które nie mogą, albo nie lubią pracować w towarzystwie.

Odpowiedziałem jakimś komplementem i dalejże przenosić tu moje wielkie regestra, i rozsiadłem się z nimi po drugiéj stronie stołu, naprzeciw Zuzanny.

— Hę, Jerzy! cóż ty na to?

Burza nie ustawała, huk grzmotów i piorunów rozlegał się głośno, i zdawał się wstrząsać murami pałacu; wicher i deszcz bił po szybach. Za każdem nowem błyśnięciem lub gromem, spoglądaliśmy na siebie, a uśmiechnięte usta zdawały się mówić: Co się to dzieje!

Pozostawiła jakąś włóczkę na kozetce, na drugim rogu salonu, wstała po nią i wracając zatrzymała się chwilkę za mojem krzesłem, i czułem, że pochyliła się lekko jak gałązka naginająca się pod ciężarem kwiatów. Szczęściem wielki mój rejestr otwarty był wówczas na stronnicy najładniéj napisanéj, podkreślenia były proste i równe. Co to jest próżność ludzka! przyznam ci się, bardzo byłem zadowolniony, że właśnie taką stronnicę zobaczyła.

Czas upływał. Trzebaż było niekiedy coś przemówić; już to zapytywałem na co przeznacza haft nad którym pracuje, już to chwaliłem dobrze dobrane cienie, a ona znów zapytywała mnie o zbiory, lub jaką krówkę ulubioną; gdy ten przedmiot się wyczerpał, rozpoczęliśmy głęboką rozprawę o Meyerberze i Rossinim, a z niéj znowu wpadliśmy na temat o konduktorach.

Ponieważ tylko wzajemna grzeczność skłaniała nas do prowadzenia rozmowy, zatem uczyniwszy jéj zadość, zamilkliśmy chętnie. Dnia tego wiele bardzo chodziłem koło gospodarstwa, byłem więc mocno znużony, robota nie szła mi jakoś; widać woń kwiatów podniecana tajemniczem działaniem burzy, sprawiała mi zawrót głowy. Ogarniał mnie jakiś dziwny niepokój, niby rozkoszne marzenie człowieka, zostającego pod upajającym wpływem indyjskiego hatszysu. Sam nie wiedziałem czy to sen czy marzenie, podniosłem na Zuzannę ociężałe powieki; pracowała jakby z gorączkowym zapałem. Zaledwie dostrzegłem w cieniu piękną jéj jakby łabędzią szyję; światło lampy padało na jéj pochylone czoło, i migotając po jéj blond włosach, zdawało się obrzucać je błyszczącemi iskrami. Oczy jéj przysłonione długiemi rzęsami śledziły z uwagą wszystkie poruszenia igły. Ta jéj poważna niewinnością tchnąca postać, była istnem uosobieniem wszelkich obowiązków i rozkoszy rodzinnych, i roztaczała w około jakiś urok prawości, czystości, szczęścia i spokoju.

O! jeśli w czyjéj piersi serce nie zupełnie jeszcze zamarło, jeśli zachował się w niem choćby jeden, ciasny kątek wolny od zepsucia, a wracając po trudach dziennych, zawsze podobną postać zastaje w swem domowem ognisku,—ten jeżeli nie jest, to nie umie być szczęśliwym!.... Błogi ten obrazek rodzinnego życia dziwnie się przedstawiał w mojéj rozgorączkowanéj wyobraźni. O! jeśli szczęście istnieje na ziemi, to widzenie moje wiernem jego było obrazem! jeśli na tem jeszcze padole Bóg wynagradza trudy i boleści, i obok ciężkich prób życia błogą zsyła pociechę—ja w téj chwili i nagrodę i pociechę miałem przed oczyma.

Dziwna to rzecz, Jerzy mój, że tak uparcie zapoznajemy w młodości, rzeczywiste prawa życia, przedstawiające nam się przecie tak wyraźnie, prosto i naturalnie; ja więcéj może niż inni odwracałem oczy, aby nie widzieć téj jasnéj prawdy—i dziś srodze jestem za to ukarany. Karą i nieszczęściem tych co na złych drogach fałszywego szukali ideału, jest to właśnie, że nawet dojrzawszy prawdziwy, już na prawą drogę wrócić nie umieją, bo serca ich tak długo żywiły się palącemi mrzonkami, że prawda mgłą i ckliwą im się wydaje. To owoc za nadto silny i pożywczy na ich spalone podniebienie i oschłe, wyziębnięte usta. I umierają jak stary Mojżesz, patrząc z daleka na ziemię obiecaną, któréj szaleńcy daremnie szukali w pustyniach.

Zadziwiona widać uporczywem mojem milczeniem, Zuzanna raz po raz rzucała na mnie ukradkowe spojrzenia,—lecz prędko odwracała oczy, gdyż zawsze spotykały się z mojemi. Te smutne myśli i chorobliwe rojenia, bardzo mnie rozstroiły; było już koło północy, wstałem chcąc udać się na spoczynek. Zuzanna natychmiast podniosła się z fotela. Postąpiłem ku niéj i wziąłem jéj rękę, czułem, że drżała w mej dłoni. Pocałowałem ją w czoło i prędko wybiegłem z pokoju nie wyrzekłszy ani słowa, jak człowiek zostający pod wpływem czarodziejskiego uroku, którego zrucić nie może lub nie śmie....

Cała rzecz, iż widać mocna woń kwiatów spowodowała zawrót głowy. Dobranoc, przyjacielu!

VI.

Chesny, 10 Sierpnia.

Trzecia godzina rano; powracam z balu. Dość smutna przygoda zmusza mnie wyjechać przed piątą rano, nie warto się kłaść, wolę tę parę godzin pogawędzić z tobą.

Więc tedy powracam z balu od hrabiny d'A..... której pałac leży o kilka kilometrów od Chesny. Hrabina d'A......jest matką hrabiego Fryderyka, najskromniejszego, najswspanialszego, najczulszego i tem samem najniebezpieczniejszego z całéj trójki, która spiknęła się na moją zgubę. Drugi *z tych panów* nazywa się Leopold de Laubriand, zdrów, barczysty zapalony myśliwy, w obejściu śmiały i pewny siebie, ma oczy ciemno niebieskie, nieco urokliwe. Trzeci, dobroduszny za nadto, zgubił się dobrowolnie. Trzeba ci wiedzieć że podróżował wiele, dotarł nawet aż blizko bieguna północnego. Pewnego wieczora rozpowiadał Zuzannie różne przygody podróży, nareszcie zaczął opisywać taniec Eskimosów; chcąc wystawić go na śmieszność, nalegałem koniecznie aby go nam pokazał; poczciwa dusza nie domyślił się podstępu i wpadł w zastawione sidła. Otóż gdy zaczął tańczyć, pokazało się, że to po prostu taniec jakiego uczą niedźwiedzi, —tylko co nie zawołałem. Tańcz Misiu, tańcz! Zuzanna odgadła widać moje zamiary i śmiała się szalenie.

Przybyliśmy na bal około dziesiątej, Hrabina d'A.. jest damą dobrego tonu, więc też całe urządzenie zabawy nic nie pozostawiało do życzenia; było jednak coś co raziło bystre oko dostrzegacza, i odzierało bal ten z cechy zabaw wyższego świata—to jest przesadzona i tchnąca prowincyonalizmem toaleta dam obecnych. Nie będę ci opisywał tych sukien domorosłego kroju i dziwacznéj mięszaniny kolorów, ogromnych piór i turbanów, oraz całych ogrodów kwiatów, strojących te prowincjonalne elegantki, rzędem siedzące pod ścianami — powiem tylko, iż ubawiłem się bardzo patrząc na ich napuszone miny. A ile tam zazdrości! jaka zazdrość, chęć zaćmienia współtowarzyszek.

Muszę przyznać że Zuzanna wyróżniała się od innych, ubrana była skromnie, ale elegancko i z gustem. Wiesz że stroje kobiece mało mnie obchodzą i wcale nie znam się na nich,—jednak doskonale umiem ocenić całość ubrania—i pod tym względem sąd mój zawsze bywa uznany przez ogół. To też wszyscy chwalili toaletę Zuzanny.

Przyznam się, że jak na taką nabożnisię za nadto lubi bale i walca. Jest to już w jéj naturze, że cokolwiek robi, robi to z zupełnem oddaniem się i zapałem, tak że ktoby ją nie znał mógłby sądzić, że o niczem więcéj nie myśli. Walec widocznie ją upaja. Jeśli w ciągu tańca zatrzyma się chwilę dla odpoczynku, małą jej nóżka gorączkowo uderza o posadzkę, po białych ramionach przebiega dreszcz niecierpliwości ... Wiesz co, mój drogi, że to taniec wcale *niekonsekwentny*; chrześcijanki nigdyby nie powinny tańczyć walca. Ten kto go wymyślił najniezawodniej nie miał żony,—co do mnie stokroć przekładam taniec Eskimosów.

Zazwyczaj młode mężatki bywają w świecie dość osamotnione; miodowy miesiąc stanowi tarczę odbijającą najzuchwalsze pociski. Żaden prawie Don Juan nie probuje wdzierać się w prawa męża, póki tenże jest jeszcze zarazem kochankiem, dozwala się młodej parze cieszyć gorącemi zapałami, oczekując spokojnie pierwszych chłodów. Wyjątkowo Zuzanna zawsze licznie bywa otoczoną. Prawda że nikt nie widzi między nami żadnych oznak miłosnych, żadnych gorących spojrzeń, pół-słówek i westchnień, zdradzających zazwyczaj w towarzystwie parę bardzo zakochaną—i zarazem bardzo źle wychowaną. My oboje jesteśmy zawsze dla siebie uprzedzająco grzeczni—ale nic więcéj, i to właśnie dodaje otuchy *tym panom*. Mają oni jakieś nieokreślone przeczucie nieszczęścia, domagającego się pociechy, i każdy swoim sposobem bierze się do tego. Hrabia Fryderyk odgrywa rolę pazia, otaczającego ulubioną jakąś czcią mistyczną; śmiały Nemrod prawi i robi *olbrzymie* grzeczności, jak np. pochwyci fotel i uniosłszy go w górę niesie przez cały salon, po nad głowami zdziwionych lub przestraszonych gości. Czyż mam się lękać, aby tym sposobem nie porwał jéj serca?...

Ale czyńmy każdy co do kogo należy. Moim obowiązkiem jest dotrzymać przyrzeczonej Zuzannie neutralności, i zachowam ją o ile to jest możliwe: w każdym razie bądź pewny, mój Jerzy, że przynajmniej nie wyprowadzą mnie w pole. Śledzę bacznie wszelkie manewra i obroty oblegających: patrzę na wszystkie ich wycieczki i przygotowania do szturmu. Smutna to jednak korzyść jeźli *na niéj mi się wszystko skończyć*. To przynajmniej dobrze, że wolny jestem od tradycyonalnéj ślepoty mężów.

Bardzo to zacny i sympatyczny chłopiec, ten tak podobny do ciebie p. Juliusz Bailly. Zdziwiłem się nie mało zobaczywszy go w balowej sali. Wprawdzie wiedziałem od Zuzanny, że za jej staraniem otrzymał zaproszenie, ale wiedziałem także, iż dotąd nie przyjmował wszelkich podobnych zaproszeń, wymawiając się słabem zdrowiem. Widząc go, ucieszyłem się szczerze, sądząc że musi się czuć zdrow-

szym,—jednak niedługo potem żałowałem bardzo, że przyjął zaproszenie.

Zaledwie rozeszła się po sali wiadomość że p. Bailly jest siostrzeńcem mego fermiera—nie tajono swego niezadowolnienia. Na balu tym zgromadzona była najdawniejsza arystokracya z całéj okolicy,—a wiesz co to jest arystokracya wiejska!... Otóż panie w turbanach uznały niestosownem, aby córki ich tańczyły z jakimś tam plebejuszem—zobaczysz co z tego wynikło.

Pan Bailly tańczył najpierw z Zuzanną, następnie zamówił do walca dość ładną osóbkę, pannę Helenę de Laubriand, rodzoną siostrę wiadomego Nemrod. Kiedy na mocy tego przyjętego zamówienia, po upływie kilku minut przyszedł prosić ją do tańca, panna Helena odpowiedziała rumieniąc się, iż p. Bailly się myli, że ona nie przypomina sobie, żeby ją zamawiał, i nakoniec że jest już zamówiona do wszystkich tańców jakie jeszcze tańczyć będą. Nie domyślając się o co chodzi, Socjusz twój stara się przekonać pannę de Laubriand o prawdzie słów swoich,—na to nadchodzi wiadomy ci brat i oznajmia, iż nie pojmuje jak p. Bailly może być tak natrętnym, a nadto jak poważa się zaprzeczać słowom jego siostry. Teraz już p. Bailly zrozumiał co to znaczy, i odsuwając się od panny, podniósł dumnie głowę i wyzwał p. de Laubriand.

—Panie, odrzekł tenże zimno, ja pana nie znam..... przeto dłuższa między nami rozmowa byłaby zupełnie niestosowną.. ..ale zapewnie masz pan tu kogoś z przyjaciół....jestem na jego rozkazy.

Pochlebny szmer towarzyszył téj odpowiedzi, podwajającéj pierwotną zniewagę; widocznie otaczający trzymali stronę obrażającego.

Młody oficer powiódł w około obłąkanym wzrokiem na zbladłéj jego twarzy osiadł wyraz strasznej boleści. Nikt nie przerwał milczenia. Przestraszona Zuzanna mocno pochwyciła mnie za rękę; wyrwałem się i rzekłem przysuwając się prędko do p. de Laubriand. Ja jestem przyjacielem p. de Bailly,—służę panu. A odwracając się do p. Bailly dodałem. Spodziewam się, że pan nie zaprzeczysz mi zaszczytnego tytułu, który za największą poczytuję sobie chlubę. Spojrzał na mnie, ścisnął serdecznie za rękę, a wyraz jego oczu przypomniał mi ten jaki widziałem w twoich, w chwili gdy Bóg dozwolił mi ocalić twego brata.

Wyszliśmy wszyscy trzej, hrabia Fryderyk podążył za nami. Umówiliśmy się, że pojedynek odbędzie się nad ranem; mając wybór broni, wybrałem szpady jako mniej niebezpieczne. Poczem wróciliśmy do balowej sali, rozgłaszając że całe zajście zakończyło się zgodnie i zaszczytnie dla stron obu,—ale zabawa nie szła już jakoś; Zuzanna prosiła mnie żeby wracać do domu.

Noc była tak piękna, że mogliśmy wracać powozem na wpół spuszczonym, orzeźwiło mnie świeże powietrze i ruch powozu. Jechaliśmy brzegiem lasku, a drzewa i krzaki przybierały najróżnorodniejsze fantastyczne postacie, złudzenia potęgował szybki bieg powozu. Niekiedy drzewa stawały się rzadsze, i przez dzielące ich próżnie dostrzegaliśmy rozległe łąki, po nad któremi unosiła się srzebrzysta mgła. Czasami lekki wietrzyk przelatywał nad nami przynosząc miły, orzeźwiający zapach lasów i upajającą woń rozkwitłych kwiatów. Pogodna cisza zalegająca uśpioną okolicę, jakiś błogi spokój przelewała w mą duszę: zapomniałem o zajściu na balu i nader smutnych może następstwach mającego się odbyć pojedynku i myśli moje w inną zwróciły się stronę, niemniéj przecież poważny przybierając odcień.

Nigdy najpiękniejszy nawet dzień nie robi na mnie tak silnego wrażenia i tak nie usposabia do zadumy, jak uroczysty i uroczy blask nocy letniej. Patrzyłem ze wzruszeniem na ciemny błękit nieba zasiany milionami gwiazd, zdających się oznaczać nocne obozowisko nadziemskich zastępów Miltona. Widziałem te iskry, te światy, kryjące się w niezmierzonej przestrzeni, jak djamenty w swem aksamitnem pudełku. Powiedz mi Jerzy, możeż to być aby ta wspaniała nieskończoność była tylko jakby balową szatą naszych nocy? Klejnotami rozłożonemi w wystawie jubilera, które biedacy mogą tylko pożądliwym ścigać wzrokiem, ale nigdy posiąść nie zdołają?... O! to niepodobna! . nie wiem co się ze mną stało, ale patrząc na te cuda przyrody, teraz dojrzewam w nich wyraźnie wszechwładną dłoń Stwórcy..,..

Spojrzałem na Zuzannę. Gorączka balowa uspakajała się wyraźnie! przycisnęła rękami pierś podnoszącą się nierównym oddechem. Miała na głowie biały koronkowy kapturek, a twarz jej otoczona tą powiewną ramą, oświetlona bladawem światłem księżyca, wydawała się dziwnie przejrzystą: czytałeś w niej tak niewysłowiony spokój, taki nieprzeparty urok tajemniczego zachwytu, iż można było mniemać że idealna ta postać jest zesłanką wyższych światów, i lada chwilę uleci w niebiosa.,. Ci co patrzą na Zuzannę jak na zwyczajną ładną kobietę, nie poznali się na niej.

Dojeżdżając do Chesny, okrąża się wzgórze na którem wznosi się skromny kościołek wiejski, a po za nim cmentarz. Teraz pod górę jechaliśmy wolno, stare cisy i krzyże cmentarne ukazywały się z za parkanu. Na tym cmentarzu spoczywa matka Zuzanny, to też widok jego zawsze żywe budzi w niej wzruszenie. W jednej chwili otrząsnęła się z swej spokojnej zadumy, przycisnęła ręką serce i rzekła nareszcie:

— Wszak prawda że w nocy, a szczególnie w takiej jak dzisiejsza, żywiej stają nam na myśli ukochane istoty, które już do lepszego przeniosły się świata?

Odpowiedziałem twierdząco, dodając iż serce nasze już z natury tak jest usposobione, iż łatwo przerzuca się i najsilniéj uczuwa najsprzeczniejsze z sobą wrażenia. I tak zaledwie opuściwszy czcze uciechy balowe, umysł nasz mimowolnie w poważnych zatonie myślach.

— Nie śmiem,—a tak chciałabym prosić cię....

— O co, moje dziecię?

— Może zdawać ci się będzie, że to śmiesznie romantyczny wybryk..... I oczami wskazała mi cmentarz. Kazałem stanąć i podałem jéj rękę. Weszliśmy po kilku zapadłych nieco schodach, i odsuwając rosą zwilżone krzewów gałęzie, zaprowadziłem ją do grobu matki. Uklękła, a ja usiadłem na pobliskiéj ławeczce, kryjącéj się w cieniu stuletniego cisu...

Patrząc na modlącą się Zuzannę, mimowolnie przyszło mi na myśl wszystko co mi mówiła o długiem męczeństwie kobiety, spoczywającéj w téj zimnéj mogile. Pamiętasz pewnie com ci pisał o matce, Zuzanny, otóż pomyśl tylko, Jerzy mój, jakże to drogo okupiła ona ten spokój mogilny. Przez lat kilka z poddaniem i z pogodnem czołem, cierpiała obok siebie brutala i nikczemnika, który bałamucąc się z najnędzniejszemi kobietami, strwonił jéj majątek i przywiódł prawie do nędzy;—mimo to nie upada ona na duchu, dziesięć lat pracuje ciężko, odmawia sobie wszystkiego i skutkiem niewysłowionych wysileń ocala część swego mienia, zaspakajając zarazem wszystkich wierzycieli, i nareszcie, gdy promyk radości miał rozjaśnić jéj opłakane życie boleści i ofiary, gdy została matką—spojrzenie które rzuciła na ukochane dziecię, było zarazem ostatniem, dusza nieszczęśliwéj do lepszego przeniosła się świata.

Wiesz co, przyjacielu, takie życie i taka śmierć wiele dają do myślenia. Gdyby nieśmiertelność duszy czczem tylko była wymysłem, gdyby nieszczęśliwa ta kobieta nie miała znaleźć nagrody po za grobem, cóż znaczy owa idea sprawiedliwości, tak wrodzona naturze naszéj?...

Byłem i jestem zawsze jednym z największych niedowiarków i sceptyków naszego wieku—ale tę mam przynajmniéj zasługę, iż nieuważam za siłę tego, co właśnie jest dowodem słabości umysłu. Bo czemże jest zwątpienie jeśli nie jałową bezwładnością?... Uważamy za śmieszne i niepodobne wszystko co tylko przechodzi szczupły zakres naszych pojęć i nawyknień, wszystko czego nie możemy zmierzyć cyrklem naszéj nauki;—wiara, religja to średniowieczne przesądy i zabobony, niegodne XIX wieku...... Obalamy i odrzucamy to wszystko, alenestety! co potrafiliśmy podstawić w ich miejsce?.. nic! i zadanie pozostaje nierozwiązalnem.... a im więcéj się zastanawiam, im więcéj nad tem rozmyślam, tem uparciéj nasuwa mi się jedynie możliwe rozwiązanie—wiara, Bóg i nieśmiertelność!...

Zuzanna powstała i zbliżając się do mnie, szepnęła: Serdecznie dziękuję ci, Raulu.... dałeś mi dowód dobroci..... bo znam twoje pod tym względem pojęcia...... Jerzy! Jerzy! jakże ona smutne ma o mnie wyobrażenie!.... dałem jéj dowód dobroci... możnaż nie być dobrym dla niéj!....

Kończę bo pan Juljusz Bailly czeka na mnie, a już w pół do piątéj. Daj Boże, aby cało wyszedł z tego spotkania.

Siódma rano.

P. de Laubriand jest lekko raniony w ramię. Po skończonym pojedynku postąpił jak człowiek porządny; szczerze i jak najuprzejmiéj przeprosił p. Bailly. Ujął mnie tem za serce, ale też właśnie oto mu chodziło, aby się dobrze postawić w opinji *męża mojéj żony*. Jeśli tak, trafił do zamierzonego celu. Przywiozłem p. Bailly do Chesny; spotkaliśmy Zuzannę w ogrodzie zajętą zrzynaniem kwiatów na bukiety, dowiedziawszy się o pojedynku, zadrżała, krzyknęła lekko, poczem rozmawiała najswobodniéj i zaprosiła zwycięzcę na śniadanie.

(d. c. n.)

Opis N. 46.

N. 1. Kaftaniczek spacerowy, dla dziewczynki od 3—5 lat. Krój Fig. 58 — 60. U dołu z tyłu i z boków przecinany kaftaniczek przyozdabia się wyszyciem ze sznura jedwabnego, sutaszem albo ściegiem łańcuszkowym. Taki sam garnirunek otrzymuje zwierzchnia spódniczka 10—12 cent. krócéj od spodniéj przykrojona.

N. 2. Opis na dodatku.

N. 3. Sukienka pół batystowa dla dziecka. Krój jak do N. 2. Taka sukienka bardzo ładnie wygląda na kolorowem podwleczeniu, lub gdy przynajmniéj pod klarowne części garnirunku poddane jest kolorowe podszycie. Skośne zakładki zaszywa się w maszynie albo kraje z materjału fabrycznie tkanego w zakładki. Na zeszyciu wstawek haftowanych lab koronkowych, daje się płócienne stębnowane pliski. Ramiączka i krótkie rękawki w kształcie bretelek z epoletkami, przyszywają się na staniczku wyciętym w kwadrat, a końce kryją pod pasek zaszyty w zakładki.

N. 4. Ubranie domowe z fartuszkiem. Krój podług ryc. 43—44. oraz podług 29 w N. 45 Tygodnika. Brązowa rypsowa suknia oszyta jest u dołu skośnym 26 cen. szerokim wolantem, który podszywa się muślinem, wycina u góry w okrągłe zęby, przez środek układa w kontrafałdy i przeszywa pliską 3 i pół cent. szeroką. Tak pliski jak i objęcia zębów daje się z ciemniejszego rypsu. W miejsce tiuniki, wyżej na spódnicy naszyte są dwa skośne jeden na drugi zachodzące wolanty, z których dolny ma 13, a górny w zęby wycięty 10 cent. szerokości. Ten ostatni przeszyty jest pliską 1 i pół cent. szeroką; wolant przy staniku i baskinie powinien być trochę węższy. Falbany naszyte na rękawach mają 20—24 cent. szerokości; koło ręki dana jest ciemniejsza pliska. Czarny jedwabny fartuszek wyszyty sznurem i ogarnirowany pliskami, zakończonemi w górze w rurki układanym nagłówkiem, a u dołu marszczoną koronką.



N. 1. Paletot dla małego chłopca.

N. 2. Paletocik z pelerynką dla małej dziewczynki. Krój pelerynki podług ryc. 27 w N. 48.

N. 3. Ubranie z krótkim paletocikiem dla panienki. Krój podług r y c. 27 w N. 48.

N. 4. Płaszczyk z pelerynką dla małéj dziewczynki.

N. 5. Kapturek robiony na drutach. Próbka ściegu ryc. 36 i 37, podpięcie z przodu na ryc. 6. Materjał: 35 gramów białego i tyleż czarnego jedwabiu. dwa średniéj grubości i 4 cienkie stalowe druty. Ładny kapturek, który także jako beduina noszony być może: ma 200 cent. długości, 54 środkowej a 35 w zaokrąglonych końcach szerokości. Cztery cent. szeroka koronka, robi się oddzielnie i nieznacznie przyszywa w koło brzegów. Przyrabiana biała frendzla i białe z czarnem kwasty przy 42 cent. długim zeszyciu kapturka, stanowią przystrojenie. Na kapturek potrzeba 11 białych i 10 czarnych pasów, robionych tam i napowrót w jednym ciągu, podług wzoru ry. 36. Robotę zaczyna się na 110 oczek od jednéj ze stron poprzecznych, następnie przy robocie 1-o białego pasa, przybiera się przy każdem obrobieniu 24 oczek na końcu druta, na zaokrąglenie końca.

Następne pasy robią się równo, aż znów przy 11 białym pasie wygubia się po oczek 24, a ostatni r z ą d zakończa 110 oczkami. Dla wypróbowania ażurowego deseniu, zaczyna się na 26 oczek i robi sposobem następującym. Pierwsze obrobienie gładko. 2-gie kręto. W 3-im obrobieniu 1-e zdjąć * przybrać, zgubić gładko, powtarzać od *. We wszystkich następujących obrobieniach zawsze 1-e oko zdjąć, następne zgubić; dla skrócenia więc będziemy je opuszczać, a opis dopiero od 3-go oka jak na próbce podawać. Rząd 4-y ciągle 1 przy. 1 zgubić kręto. Rząd 5 cały gładko. Rząd 6 cały kręto. Rząd 7 * 1 przewlec, przewleczone z następującym zgubić, 7 gł. 1 zg. gł. Powtarzać od *. Rząd 8 * 2 razy przyb. 1 kr. zg. 5 kr., 1 kr. prz. i zgu., 2 przyb., 1 kr. *. Rząd 9 (przypominamy że nitka 2 razy zarzucona stanowi 1 ocz.), 2 gł. * 2 razy przybrać 1 przewlec i zgub., 3 gł. 1 zg. gł, 2 razy przy. 3 gł. * na zakończenie 2 razy przy., 1 gładko. Rząd 10 2 kr. * 2 razy przy., 1 kr. zg., 1 kr., 1 prz. i kr. zgubić. 2 razy przy. 5 kr., *. Na zakończenie 3 kręto. Rząd 11. 4 gł * 2 razy przy., 7 gł. * na zakoń. 3 gładko. Rząd 12. 4 kr. * 2 razy przy., 1 kr. 2 przy., 9 kr. *. Na zakończenie 5 kręto. Rząd 13—18, jak 7—12. Rząd 19. Cały gł. 20 cały kręto. W rzędzie 21 ciągle 1 prz., 1 gł. zg., w 22, 1 prz. 1 kr. zgubić. 23 cały gł., 24 kr. Rząd 25. 4 gł. * 1 prz. i zg., 1 gł., 1 zg., 7 gład. * na zakoń. 3 gł. Rząd 26. 2 kr. * 1 zg. kr. 2 razy przy., 1 kr. 2 razy przy. 1 zg. kr., 5 kr., * na zak. 3 kr. Rząd 27. 2 gł. * 1 zg., 2 r. prz., 3 gł., 2 razy przy., 1 prz. i zg., 3 gł. *. Na zak. 1 gł. Rząd 28. * 1 kr. prz. i zg. 2 razy przy., 5 kr., 2 razy przy., 1 kr. zgubić. Rząd 29. 2 gł. * 2 razy przy. 1 zg., 3 gł., 1 zg., 2 razy przy., 3 gład. Na końcu 1 gładko. Rząd 30. 1 kr. * 2 razy przy., 1 kr. zg., 1 kr, 2 oczy jedno przy drugim przy., 1 kr. zg., 2 razy przy., 3 kr. *, na zakoń. 2 kr. Rząd 31. 2 gł., * 2 razy przy., 1 zg., 3 gł. 1 kr; 2 razy prz. 3 gł. * na końcu 1 gładko. Rząd 32. 1 kr., * 2 razy przy., 1 kr. zg., 3 kr. 1 kr. zg., 2 razy przy., 3 kr. * na zak. 1 kręto. Rząd 33. 3 gł., * 2 razy przy., 1 prz. i zg. 1 gł. 1 zg., 2 razy przy., 5 gł. *. Na zakończ. 2 gładko. Rząd 34. 3 kr., * 2 razy przy., 3 kr. razem zg. 2 razy przy. 7 kr. *, na zakończ. 4 kr. Rząd 35. 5 gł. * 2 razy przy. 1 gł., 2 razy przy., 9 gł., * na końcu 4 gładko. Rząd 36 cały kręto, 37 cały gładko, 38 cały kręto. Poczem zaczyna się pas czarny od 3 obrobień na przemian gładko i kręto i robi zupełnie tak jak poprzedzający. Szlaczek robi się na cieńszych drutach wzdłuż osobno, najlepiéj w oddzielnych 4-ch częściach, które łączyć się powinny w rogach i z tyłu na środku. Próbkę szlaczku zacząć na 18 oczek, obrobić raz gładko, we wszystkich następnych zawsze 1-sze oko zdjąć ostatnie z przedostatniem przewlec. W drugim obrobieniu ciągle jedno przybrać jedno zgubić. Rząd 3 obrobić cały kręto. W 4-ym do 11 powtarzać dwa poprzedzające obrobienia kolejno. Rząd 12 jak 2. W 13 rzędzie zarzuconéj nitki nie robić jako oczka, tylko luźno z druta spuścić, a następne 1 przy. 1 kręto. Rząd 14 cały gł. W 15 rzędzie 1 kr, 1 zg. kr., 3 kr., i przewlec i zg. kręto. W rzędzie 16. 2 razy przy., 1 prze. i zg., 1 gł. 1 zg., 2 razy przy., 1 gładko powtarzać do końca. Pamiętać że 2 zarzucenia liczą się za 1 oko. Rząd 17. 2 kr., * 2 razy przy., 3 oczy razem kr. zg. 2 razy prz. 3 o. kr. *. Na zakończenie 1 kręto. W 18 ciągle 1 przy., 1 zg., 2 razy przy., 1 zg. 1 gładko. W 19 * 3 o. razem kr. zg., 2 razy przy., 3 oczy razem kr. zgubić. W 20. 1 o. gł. * 2 razy przybrać, 3 o. gł., 2 razy przy, 1 zg. powtarzać od gwiazdki, a ostatnie zrobić gładko. Rząd 21. Ciągle 1 kr., 2 razy przy., 5 kr. 2 razy przy., na końcu 1 gł. 22 cały gładko a 23 kręto. 24 i 25 jak 12 i 13. Rząd 26 gładko. Rząd 27 ciągle 1 przy. 1 kręto. Rząd 28. 1 przy., 1 gładko. Rząd 29 cały kręto a 30 cały gładko. Poczem szlaczek kręto zarobić.

N. 6. Burnus kolisty. Krój Fig. 49. Wskazówka kroju burnusa kolistego, wraz z oznaczeniem miary. Fig. 50. Połowa kapturka. Forma ta zarówno nadaje się na okrycia spacerowe, do teatru lub od deszczu, tylko stosownie do przeznaczenia dobierać trzeba rodzaj materji, jak np. sukno kolorowe, piękną gładką lub prążkowaną wełnianą materję albo też Waterproof. Fig. 49 podaje wzór kroju i wskazuje miary długości i szerokości, które łatwo stosownie do woli, powiększyć albo zmniejszyć można. Na burnus, który ryc. 6 przedstawia potrzeba 382 cent. materjału, mającego 142 cent. szerokości. W krajaniu zachować trzeba wskazany na Fig. 49 bieg nitek prostych, krając razem obiedwie połowy z podwójnie złożonego i poprzecznie danego materjału, przyczem wszystkie podłużne brzegi wypadać będą skośno. Z tych dwa środkowe zeszywa się szwem francuzkim, a zaszycia na ramionach dopasowywa podług figury. Długość naszego modelu odrobionego z granatowego sukna wynosi z przodu 113, z tyłu 139 c. a dolna szerokość 416 centymetrów. Brzeg dolny jest wązko na wierzch odwinięty i przestębnowany. Z pozostałych odpadków sukna kraje się podług F. 50 kapturek, którego górną część więcéj jak do połowy pokrywa się jedwabnym rypsem, stanowiącym środek i wyłożenie jak to r. 22 wskazuje. Gdy kapturek jest od *b* do *c* zeszyty odkłada się podług wzoru i zaprasowywa wyłożenie, przyszywa kapturuk do wykroju burna i szew obejmuje pliską. Nakoniec dodaje się kokardę z długiemi końcami z szerokiéj rypsowéj w s t ą ż k i. Z pozostałych kawałków poddaje się pod brzegi z przodu stębnowane listewki do przyszycia guzików i zrobienia dziurek. Za pomocą guzika i pentelki dodaje się od spodu podpięcie, stanowiące rodzaj zręcznego i dogodnego rękawka do wyjęcia rąk.

N. 7—9. Majtki, stanik i bluzka dla chłopczyka od lat 7 — 9. Krój Fig. 51—57. Na podanym przez nas wzorze tak bluzka jak i majtki są z sukna szafirowego, te ostatnie wszywa się w pasek 3 cent. szeroki w którym dane są dziurki, odpowiadające guzikom przy staniku przyszytym. Od litery *g* aż do paska podszywa się listewki do guzików dziurek. Staniczek z płótna niewarowego jest z tyłu zapinany. Przody bluzki od *n* do *n*, zeszywaja się w sposób na rycinie wskazany przez co tworzy się bufa, oryginalny fason stanowiąca. Po zeszyciu pleców z przodami, dół od dwukropki do gwiazdy i od krzyżyka do punktu (ostatnie w skośnéj na formie oznaczonej linii) marszczy się i wszywa w pasek pod który powinna być dana b a r d z o sztywna podszewka. Końce marynarskiego kołnierza oszytego pliską z wypustkami, łączy z przodu zgrabny węzeł, którego końce mają 12 c. długości, 7 cen. szerokości i są u dołu śpiczasto ścięte a w górze przyfałdowane. Z boku do paska przypięte szarfy, mają 25 cent. długości, 5 cent. górnéj 8 centym. dolnéj szerokości i są w górze skośno ścięte. Przy ryc. 41 garnirunek stanowi czarna wełniana taśma z brzegów

białą wełnianą plecionką oszyta. Przy ryc. 12 plisy aksamitne z atłasowemi wypustkami.

N. 10. Szlak cerowany na tiulu z nagłówkiem z tasiemeczki koronkowéj. Szlak taki starannie odrobiony na jak najlepszym tiulu, doskonale imituje prawdziwą koronkę i nadaje się do sukien jedwabnych lub do chusteczek z jedwabnéj krepy. Do cerowania użyć potrzeba nici koronkowych a do wywodzenia nici płaskich. Zakończenie stanowią kupne ząbki koronkowe.

N. 11. Opis na arkuszu z krojami.

N. 12 — 13. Krawacik muślinowy z końcami przyozdobionemi frywolitkami. Krawacik ma 112 cent. długości i 9 cent. szerokości. Brzegi podłużne obrębione stębnówką, a poprzeczne skośnie ścięte i zakończone szlaczkiem przydzierganym, odrobionym podług próbki N. 13.



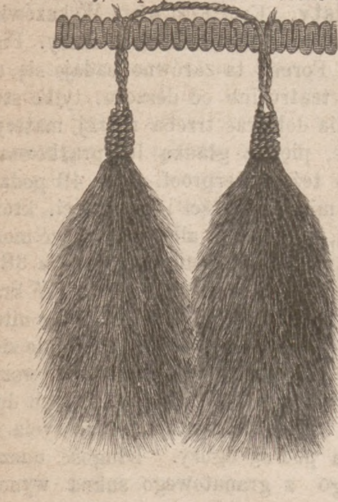
N. 5. Pasmanterja do zapinania płaszczyków, kaftaników i. t. p. Opis na arkuszu dodatkowym Fig. 35.



N. 10. Guzik przyozdobiony robotą szydełkową Do vêtement ryc. 18 w N. 48.

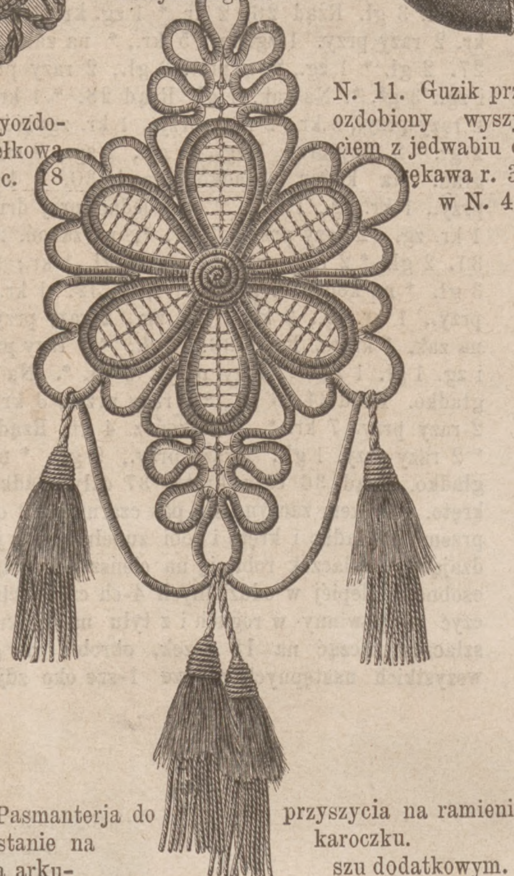


N. 11. Guzik przyozdobiony wyszyciem z jedwabiu do ...kawa r. 37 w N. 48.



N. 12. Futrzana frendzla kwaścikowa.

N. 14—15. Przykrycie na stolik. Robota szydełkowa i tasiemka niciana. Odpowiednio do wielkości i formy stolika, przykrawa się serwetkę kwadratową lub owalną, z piki, płótna lub perkalu białego albo w kolorze écru. Szlak naturalnéj wielkości przedstawia próbka N. 15. Każda rozeta ma w środku kwadrat z podwójnie złożonéj tasiemki 1 i pół cent. szerokiéj, brzegi przecięte podwijają się do środka, a cały kwadrat fastrzyguje w koło. Liczba i stopniowa długość słupka widoczna na próbce. Prosty rząd kółek może być odrobiony osobno, a następnie przyrobiony do obrębka; albo też od razu wywiedziony i szydełkiem obrobiony albo odziergany na obrębku. Spojenia dopełnia się z lewéj strony igłą lub szydełkiem.



N. 6. Pasmanterja do przyszycia na ramieniu lub w stanie na karoczku. Opis na arkuszu dodatkowym.

N. 18 i 19. Beduina szalowa haftowana. Na beduinę która także użyta być może jako kapturek potrzeba prostego kawałka białego rypsu lub kaszmiru, długiego 256, a szerokiego 41 cent. Na modelu prawy koniec beduiny zręcznie przerzucony jest na lewę ramię. Szlak na ryc. 19 podany, haftuje się kordonkiem koloru złotego i czarnego. Kolor złoty oznaczony jest jaśniej, a czarny ciemniéj na deseniu. Tak szlak jak i frendzla krepowana daje się tylko do riuszy, odznaczającéj kapturkowe przepięcie beduiny. Riusza ta ma 3 i pół cent. szerokości, jest zaobrębiona w górze dwoma rzędami ściegu łańcuszkowego, koloru czarnego i złotego i zajmujo 63 c. środkowéj długości górnego brzegu beduiny. Do spięcia służy biała jedwabna pentelka i baryleczka, przymocowana przy brzegach riuszy guzikami i kwastami czarnemi z żółtemi. Jeżeli beduiny użyjemy w miejsce kapturka, riusza stanowić będzie garnirunek około twarzy.

N. 20—21. Spódnica ozdobiona wszywanemi kwadratami.

Haft atłaskowy i wyszycie na tiulu.

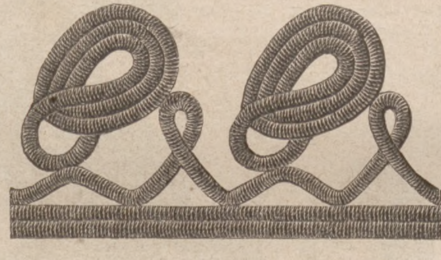
Spódnica z gustownym garnirunkiem, nadającym się zarówno do spódnic z trenem lub krótkich, liczy z przodu 103, z tyłu 128 cent długości i oszyta jest wolantem 18 centym. szerokim a 460 długim. Wolant ten w miejsce nagłówka ma ząbki dziergane przystębnowane listewką, u dołu zakończony jest falbaneczką układaną w kontrafałdy, 4 c. szeroką, główne zaś przyozdobienie stanowią kwadraty po 6 cent. mające. Desenie do wyszywania na tiulu znaleść mogą czytelniczki w wielkim wyborze w dawniejszych N-rach Tygodnika. W miejsce kwadratów z haftu, dobrze pasują kwadraty batystowe w zakładki, lub z materjału fabrycznie tkanego w zakładki. Na ażurowe kwadraty podajemy wzór na rycinie 21 z siatki wyszywanéj.



N. 13. Frendzla kwaścikowa z nagłówkami z futra.



N. 15. Nagłówek do frendzli futrzanej. Robota szydełkowa w węzły nawijane.



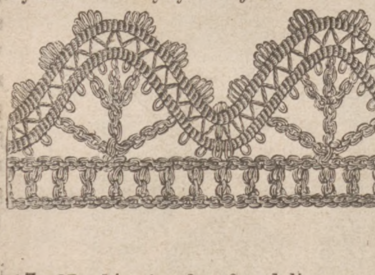
N. 7. Wyszycie do płaszczyka sukni, kaftanika lub t. p. Ze sznura krętego lub roboty nawijanej.



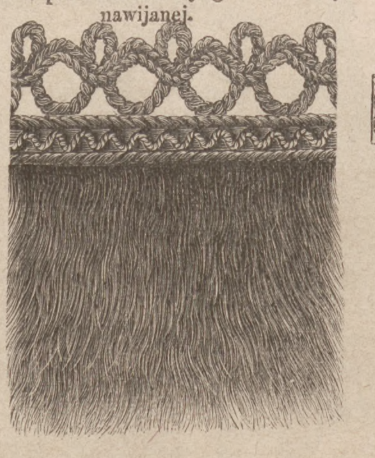
N. 16. Nagłówek do frendzli futrzanej. Robota szydełkowa i plecionka w ząbki.

N. 16. Broszka malowana na atłasie. Za podstawę służy odpowiedniej wielkości foremka drewniana od guzika wypukłego, którą pokrywa się gładko atłasem białym; wystające brzeg i pokrycia przymarszcza się i przyciąga od spodu następnie przykrywa drugim kółkiem atłasu, krytym ściegiem, przyszytym z brzegów. Na zwierzchniéj stronie odmalowany jest bukiecik róż, wodnemi farbami do których domięszać można przy rozcieraniu cokolwiek cukru. Ciemną ramkę wkoło odrabia się gumą albo lakierem; po wykończeniu malowania, przyprawiona jest śpilka od spodu.

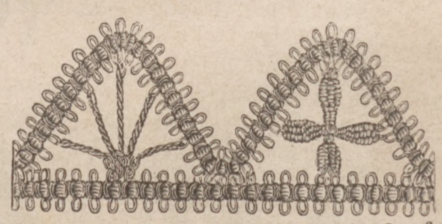
N. 17. Opis na arkuszu z formami.



N. 17. Nagłówek do frendzli futrzanej Robota szydełkowa i torsada.

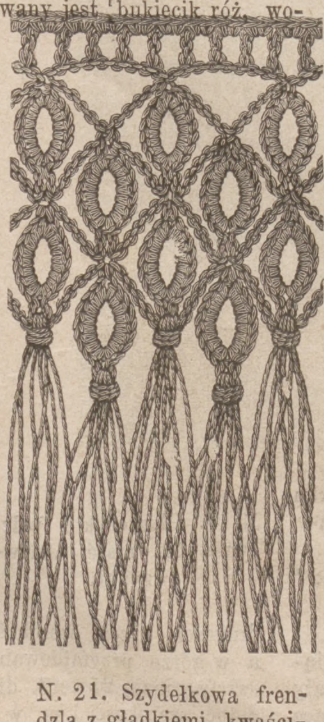


N. 14. Frendzla futrzana z nagłówkiem ze sznura. Patrz nagłówki ryc. 15—18.



N. 18. Nagłówek do frendzli futrzanej. Spajanie ściegiem koronkowym.

N. 22—27. Hjacent biały robiony z papieru. Sześć środkowych pręcików o żółtych z ponsowym główkach, łączy się drucikiem podług ryc. 23 i te stanowią środek kwiatka, który składa się z kawałka białej bibułki przyciętego podług ryciny 24. Przed zwinięciem na kwiatek, potrzeba już wyciętą bibułkę położyć na dłoni i każdy listeczek wygiąć śpilką podwójną, następnie brzegi boczne bibułki przeciąga się gummą i skleja na kwiatek podany na ryc. 25. Przez kielich kwiata przeprowadza się drucik z pręcikami i kwiatek przytwierdza się do niego jedwabiem zielonym okręcając drucik na 3 — 4 cent. długości jak to ryc. 26 wskazuje. Gałązki składa-



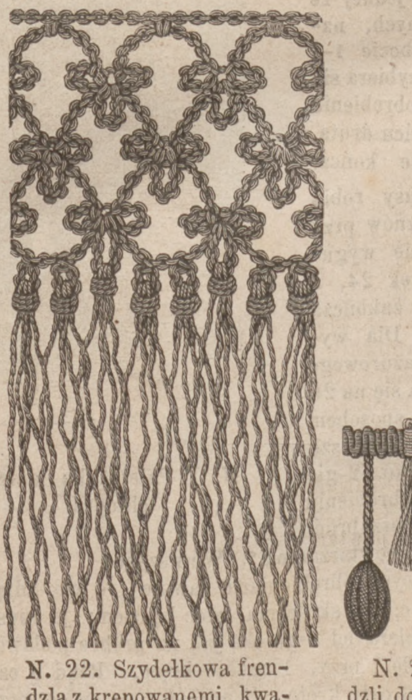
N. 21. Szydełkowa frendzla z gładkiemi kwaścikami.



N. 8 Wykonanie nawijanej roboty do pasmanteryi. Opis na arkuszu dodatkowym. Fig. 36a



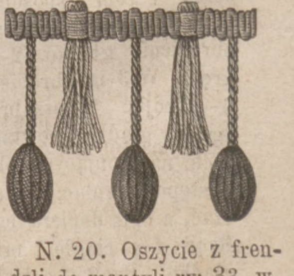
N. 9. Układanie pasmanteryi z nawijanej roboty. Wzory i opis na arkuszu dodatkowym Fig. 36a—36d.



N. 22. Szydełkowa frendzla z krepowanemi kwaścikami.



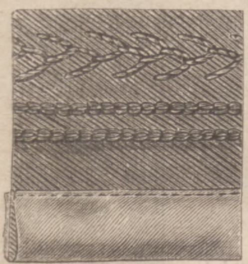
N. 19. Oszycie z plecioneczki w ząbki i nawijanych węzłów; Do mantyli ryc. 34 w N. 48.



N. 20. Oszycie z frendzli do mantyli ry: 33 w Nrze: 48.

ją się z pojedynczych listków, zakończonych drucikiem owiniętym zieloną bibułką podług ryc. 27. Układ całkowitéj gałązki kwiatów i listków wskazuje ryc: 22.

N. 28—31. Kwiat alpejski. Materjał: flanelka, gruba bawełna, nici, bibułka biała, trochę żółtego jedwabiu, drucik. Ośm słupków, stanowiących otoczenie środka kwiatu, wiąże się z bawełny na druciku podług ryciny 29, podającéj jeden słupek. Bawełnę rozczesuje się gładko i przycina równo, punkciki zaś czarne widoczne na środku oznaczają się atramentem. Na środkowym największym w miejsce czarnych punkcików dane są żyłki żółtym jedwabiem. Po ukończeniu, pojedyncze słupki łączą się koło środkowego i związują drucikiem.



N. 23. Oszycie do kapturka ryc. 10 w N. 48.

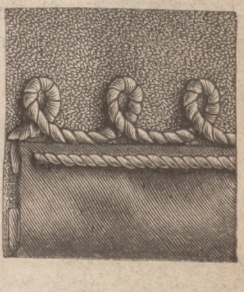
Listki wycinają się podług ryc. 30 i 31. Podług ryc. 30 przykrawa się dwa kółka, które naklejają się koło kielicha, dalej zaś dopełnia się pojedynczemi listkami jak ryc. 31. W miejsce flaneli użyć można białego aksamitu.



N. 25. Wyszycie z kręconego sznura jedwabnego na dolmanie ryc. 44.

służy do pokrycia uszów koszyczka, przykrojonych owalnie z tektury i mających 9 centy. długości, a 4 szerokości. Wewnętrzna strona oszywa się w górze gładko frendzlą, a u dołu riuszą ze wstążeczki 2 centy: szerokiej, przyszytą do drucika. Na koniec na wewnątz i zewnątrz dają się arabeski ze sznura, przyszyte z wierzchu w ten sposób, iżby jedna na każdą kontrafałdę wypadała. Uszy pokryte tybetem różowym, przyozdobione są arabeskami ze sznurka i kokardami z e wstążki, w sposób na ryci. 32 wskazany.

U dołu na połączeniu dna z bokami koszyczka, naszyty jest sznurek.



N. 24. Oszycie do paletota ryc. 25 w N. 48.

N. 34.
Ubranie
dla panienki lat od 13—16. Opis przy ryc. 2 podanej w N. 45 Tygodnika. Mód.

N. 35. Haft
do kołnierzyka i rękawków ry: 33 i 34 w N. 45 Tygodnika.

N. 36—37. Próbki roboty na drutach
do ryc. 5.

N. 32—33. Koszyczek do robót.

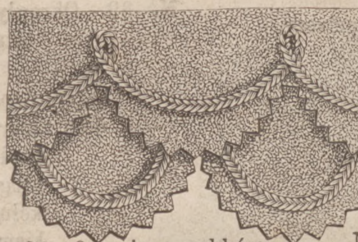
Materjał: różowy tybet, także wstążka 5 i 2 cent. szeroka; także krepowana frendzla 2 cent. szeroka; biały lniany sznurek, gruba i cienka tektura, wata, różowy perkal na podszewkę, drucik, jedwab, gumma.

Podstawę koszyczka stanowi owal ze sztywnej grubej tektury 31 i pół centy: długi, 24 centy. szeroki i potrójna ściana czyli brzeg 4 i pół c. wysoki; tu tylko część środkowa najwyższa daje się z grubej tektury, a dwie zwierzchnie nieco niższe ścianki z tektury cienkiej.

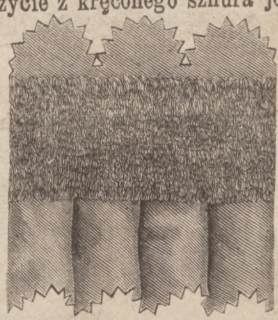
Dno środkowe otrzymuje od spodu podszewkę z białego szyrtyngu, pokrytego różowym perkalem i wewnątrz podwatowane pokrycie z różowego tybetu. Podszewkę dolną wywija się na wierzch i przykleja do tektury, następnie przymocowywa się w koło najszerszą ściankę boczną, pokrytą gładko różowym tybetem. Pokrycie środkowe powinno być nieco większe od denka, ażeby brzegi zachodziły na boki i były do niego przymocowane.

Następnie dwie cienkie węższe ścianki także tybetem kryte przyczepia się z dwóch stron na środkowej i na nich dopiero daje ubranie z arabesek ze sznurka, odrobionych oddzielnie i zeszytych z lewej strony sposobem na rycinie 33 wskazanym.

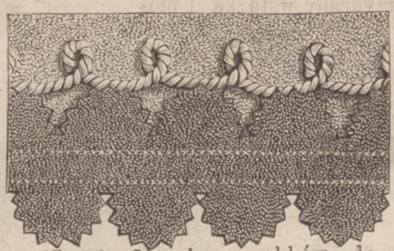
Nad arabeski ze sznura, poddany jest garnirunek z dwóch skośnych kawałków tybetu, mających 84 cen. długości, a 9 szerokości, których brzeg dolny oszyty jest wązką frendzlą jedwabną. Każdy kawałek złożony na dwoje układa się w 10 kontrafałd i przyszywa ściany koszyczka w ten sposób, ażeby na zewnątrz na 5 i pół centymetra były wywinięte. W końcach zostawia się po 3 i pół centy. gładkiego materjału, który luźno puszczony następnie



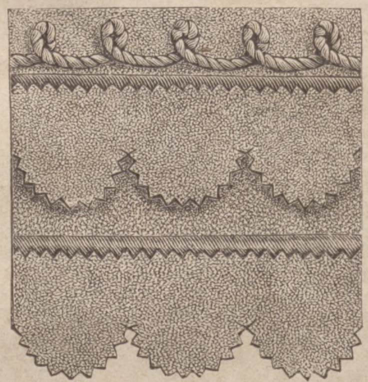
N. 26. Oszycie z ząbków do kaftanika rycina 22 w N. 48.



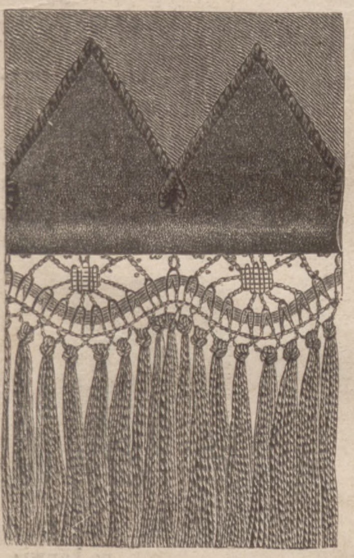
N. 27. Oszycie z paskiem pluszowym do ryc. 43 w N. 48.



N. 28. Oszycie z ząbków do kaftaniczka ryc. 21 w Nrze. 48



N. 29. Oszycie z ząbków do kaftanika ryc. 20 w N. 48.



N. 30. Oszycie w zęby, z koronką zakończoną frendzlą do ryc. 35 w N. 48.



N. 32. Haftowane oszycie do kaftaników itp.



N. 33. Garnirunek w fałdy z przepięciem w kształcie motyla.



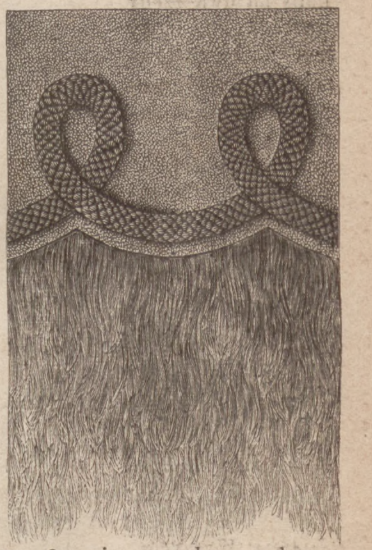
N. 34. Garnirunek w fałdy z wyjianemi brzegami.

N. 38. Uczesanie głowy
z lokami i grzebieniem.

Tylna część włosów spada na plecy w długich zwojach loków; część przednia z boku rozdzielona, w swej znaczniejszej części jest nad czołem krepowana, trochę w górę podniesiona i podwinięta, część zaś mniejsza gładko na bok podczesana, a końce włosów z obydwóch stron w loki zwinięte i przypięte cienkiemi szpilkami, ułożone w ten sposób, iż ubierają wierzchołek głowy. Nad przedziałem z boku wpięty grzebień szyldkretowy z ławeczką ruchoną.

N. 39—40. Ubranie głowy
w warkocze z grzebieniem.

Z przodu i z tyłu podane strojne ubranie głowy w warkocze, przy włosach z boku rozdzielonych, nie potrzebuje szczegółowego opisu. Jak widziemy na ryci. 40. w warkocz opasujący tylną część głowy, włożony jest z boku grzebień szyldkretowy, z wysoką w górę stojącą ławeczką. Od przodu warkocze upięte są w ten sposób iż zupełnie grzebienia zasłaniają. W miejsce grzebienia można od przodu wpiąć we włosy jedną, albo parę tak dziś modnych dużych szpilek szyldkretowych.

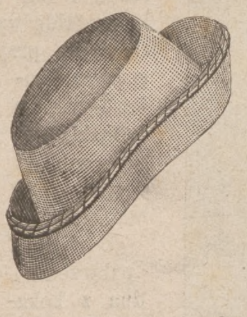


N. 31. Oszycie w zęby przybrane sznurem i zakończone frendzlą futrzaną do dolmana ryc. 43.

N. 41—44. Opisy na dodatku z formami.



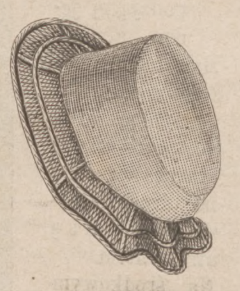
N. 36. Okrągły kapelusz z długim woalem.



N. 41. Modny nie ubrany fason kapelusza.



N. 35. Modny kapelusz zwany: Rubens.



N. 42. Modny nie ubrany fason kapelusza.



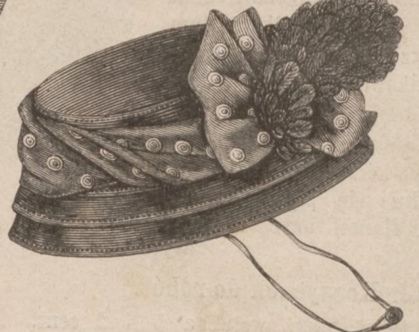
N. 37. Okrągły kapelusz przybrany dwojaką wstążką.



N. 38. Okrągły kapel usz przybrany wstążką i piórami.



N. 40. Djadem do wiązanych kapeluszy.



N. 39. Okrągły ceratowy kapelusz przybrany ostindyjską krawatką i skrzydełkiem.



N. 43. Dolman patrz ryc. 35 i 19 w Nrze. 48. Krój na arkuszu dodatkowym N. II, Fig. 6—8.

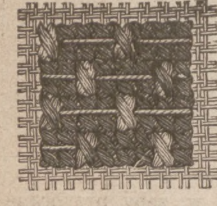
N. 44. Dolman formą trochę wciętą patrz ryc. 25. Krój na arkuszu dodatkowym N. X, Fig. 45—49.

N. 43—44. Modne kapelusze przybrane welonami.

Opis do N. 47.

N. 1. Paletocik dla małego chłopczyka.

Paletocik głęboko zakładający się na przodzie i zapinany na dwa rzędy guzików, odrobiony jest z ciemno brązowego dubeltowego materjału sukiennego i liczy 5—6 cent. długości. Kroju nie dołączamy dziś, jest on taki jaki dajemy zwykle na paletociki



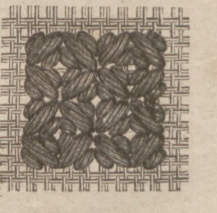
N. 45. Wyszycie na kanwie.

dla dzieci, a który znajdą czytelniczki w dawniejszych Nrach Tyg. Mód. Objęcia z taśmy kiprowanej wełnianej w ciemniejszym brązowym kolorze; brązowy sutasz naszyty podług wzoru.

N. 2. Paletocik z peleryną dla małéj dziewczynki.

Krój pelerynki podług ryc. 27 w N. 48. Paletocik podług zwykłéj puszczonej formy, 56 centymetrów długości liczący, dopełniony jest peleryną z tyłu rozciętą u dołu zaokrągloną, której każdą połowę kraje się podług Fig. 18 z przodu 34, z tyłu 41 cen. długą a u dołu 83 cent. szeroką. Wązki, kołnierzyk stojący łączy pelerynę z paletocikiem. Przybranie stanowi haft wyszyty czarnym lub kolorowym jedwabiem, a l bo szuurem i oszycie z frendzli czarnej kwaścikowej z nagłówkiem ze sznelki. Czarne guziki służą z przodu do zapinania. Kepelusik okrągły ceratowy czarny, przybrany czarną riuszą i kokardą ze wstążki.

N. 3. Ubranie z krótkim paletecikiem dla panienki.



N. 46. Wyszycie na kanwie.

Krój podług ryc. 26 w N. 48. Kaftaniczek z tyłu wcięty z przodów puszczony. mający z przodu 49, z tyłu 61 cent: długości, odrobiony z granatowego s u k n a i przybrany czarnem futerkiem. Kołnierzyk wykładany z tyłu 6 i pół, z przodu 11 centy: szeroki. Kieszonką dodane na przodach, oszyte futrem wymagają kawałków prostych 20 cent. długich, 11 szerokich. Spódniczka z granatowego sukienka, oprócz woalantu, przybrana jest jeszcze futerkiem.